Nr. 41. Kraków, dnia 9 października 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Więcej rozwagi.

Zainteresowanie niezwykłe obudziły ostatnie aresztowania w Krakowie. W chwili, kiedy te słowa piszemy; (niedziela) — brak jeszcze szczegółów aresztowań, nieznane są intencye aresztowanych, nie wiadomo, dlaczego policya zarządziła rewizye. To nie ulega zdaje się wątpliwości, że podkład całej afery stanowią stosunki polityczne, i że zaangażowani są w nią młodzi emigranci z Królestwa Polskiego. Powszechną jest również opinia, że między aresztowanymi znajdują się agenci ochrany i szpiedzy wojskowi na rzecz Rosyi.

Może chłopcy ci mieli zamiary najlepsze, może dusze ich żyły pragnieniami najszczytniejszemi. Nie mniej jednak stwierdzić trzeba, że zachowanie ich i postępowanie nie odpowiadało wielkości wyznawanej idei.

Dzisiaj wszyscy, każdy rząd, czeka na najbłachszą sposobność, byleby nas oskarżyć o nieprawomyślność i z oskarżeń tych budować nowe represye. Sfera szpiegów państw ościennych grasuje w Krakowie i wogóle po Galicyi, łaknąc żeru ciągłego. Ze wszech stron sypią się stale najpotworniejsze oskarżenia, a fantazyi denuncyantom pozazdrościć może niejeden poeta.

Pod wpływem ostatnich wypadków w Królestwie rząd rosyjski zdołał uzyskać niezwykle silną policyę własną. Umiał z szeregów rewolucyjnych pozyskać dla swoich celów wiele jednostek. Wskutek tego wiadomo powszechnie, że w obecnych warunkach praca nielegalna w Królestwie jest wprost niemożliwa.

Sieciami swemi ogarnia nietylko Królestwo; mieliśmy i w Galicyi do czynienia nieraz z jego wysłańcami, umiejącymi dotrzeć do kół najbardziej zaufanych.

Nikt nie może nam wzbronić wyznawania najszczytniejszych idei; pragnienia najgłębsze drzemią w duszy każdego z nas. Nie mniej na każdym z nas spoczywa obowiązek ostrożności w działaniu, oględności jak najdalej idącej, ażeby obcym nie dawać broni do rąk i nie narażać nikogo na nowe prześladowania.

Podniesienie rzemiosła.

Sejm na sesyi zimowej uchwalił znane wnioski o Banku przemysłowym, który z końcem września zaczął funkcyonować. Bank ma na celu podniesienie przemysłu wielkiego. Obecnie Sejm przystępuje do akcyi mającej na celu podniesienie rękodzielnictwa i przemysłu drobnego.

Inicyatywę zawdzięczamy posłowi Głąbińskiemu, który wniósł w r. 1907 projekt utworzenia Patronatu rękodzieła i przemysłu drobnego. Wydział krajowy przyszedł po wstępnych badaniach do przekonania, że sprawę popierania rzemiosła i drobnego przemysłu należy wyodrębnić od akcyi popierania przemysłu wielkiego. Akcyę tę należy skupić w osobnym organie, przez co przemysł drobny uzyska osobne zastępstwo, opiekujące się jego interesami i potrzebami tak pod względem badania warunków pracy i potrzeb, jak organizacyi kredytu dla drobnego przemysłu, zwłaszcza w formie przemysłowych spółek oszczędnościowo-kredytowych na podstawie ustawy z r. 1873, związków kredytowych z ograniczoną odpowiedzialnością podług ustawy z 6 marca 1906 lub kół kredytowych obok krajowej centralnej organizacyi dla drobnego przemysłu.

W celu utworzenia osobnego funduszu pożyczkowego dla drobnego przemysłu, proponuje Wydział krajowy wydzielić z dzisiejszego funduszu przemysłowego kwotę 500.000 koron i zasilać ją przez lat 10, począwszy od r 1911 corocznie dotacyą w kwocie 100.000 koron. Ogółem więc dotacya krajowa funduszu pożyczkowego wynosiłaby za lat dziesięć 1 i pół miliona koron. Niewątpliwie jest to dotacya zbyt szczupła i nie wystarczy

na potrzeby krajowego rękodzieła w tak wielkim kraju.

Nie należy jednak wątpić, że z rozwojem działalności patronatu dotacya krajowa będzie podwyższoną. Już w swoich wnioskach żąda Wydział krajowy dla funduszu upoważnienia do zaciągania w jednej z instytucyi krajowych pożyczek aż do wysokości każdoczesnego kapitału zapasowego.

Zadaniem patronatu krajowego będzie także popieranie technicznego postępu drobnego przemysłu przy współdziałaniu z oboma instytutami technologicznymi we Lwowie i w Krakowie, ulepszenie administracyi drobnych przedsiębiorstw, ułatwianie zbytu wyrobów drobnego przemysłu i rozszerzenie pola pracy dla drobnych przemysłowców, popieranie współdzielczej organizacyi na różnych polach zarobkowej pracy, niemniej współdziałanie z zawodowemi stowarzyszeniami przemysłowemi. Z zakresu działania patronatu wyłączone są tylko sprawy szkolnictwa przemysłowego.

Krajowy Patronat rękodzieł i drobnego przemysłu będzie organem Wydziału krajowego. Organem doradczym będzie stały komitet dla spraw rękodzielniczych krajowej komisyi dla spraw przemysłowych.

Ziemia krakowska kolonią Prusaków?

Otrzymujemy następujący list:

Minęły uroczystości grunwaldzkie, które nie tylko uprytomniły potęgę i chwałę Polski, lecz były zarazem wyrazem zjednoczenia narodowego, tej wielkiej siły, która ma stać się podwaliną odrodzenia. Przestawiciele wszystkich zaborów, zgromadzeni u stóp „Zwycięzcy Krzyżaków“ jako dzieci wspólnej matki, przejęci jednym duchem, ożywieni jedną przewodnią myślą, podali sobie bratnią dłoń do żmudnej, cichej lecz wytrwałej pracy, której przyświecać ma jeden cel, cel odrodzenia narodowego.

I padały na ten temat słowa gorące, pełne miłości, nadziei, otuchy. — Lecz czy dotąd nie mieliśmy tych szlachetnych przyrzeczeń, wzniosłych porywów? Mieliśmy — lecz niestety w słowach! Umieliśmy ronić łzy, wyrażać żale i współczucie, lecz nie potrafiliśmy zdobyć się na czyny. Podczas, gdy bracia nasi narażeni są na prześladowania pruskie, upadają pod ciężarem nahajek rosyjskich, społeczeństwo nasze nie umie bronić się racyonalnie przed wrogami, a nawet pozwala zabierać im ziemię rdzennie polską, okupioną krwią przodków, oddając w dzierżawy najurodzajniejsze ziemie krakowskia jak: Kościelniki, Mistrzejowice, Prądnik Czerwony i wiele innych.

Czyż to nie jest występkiem narodowym, którego dopuszczają się poważne czynniki, które świecić przykładem powinny?

I teraz rozpisano konkurs na wydzierżawienie Prądnika Czerwonego, lecz jak słychać, jest to tylko formalność, gdyż dzierżawa jest dla nich zapewniona.

Mamy nadzieję, że czynniki kierujące dołożą wszelkich starań, aby majątki polskie nie były oddawane w ręce prusackie, gdyż i wśród Polaków znajdą się obznajomieni należycie z gospodarstwem i chętnie zastąpią dotychczasowych dzierżawców, którym chleb polski tak smakuje, że biorą sobi za żony Niemki i w ten sposób zakładają kolonie koło Krakowa. Czyż może to być obojętne dla społeczeństwa polskiego?

Jędrzej Darzeński.

Jeszcze czas odnowić przedpłatę! Nie jesteśmy pismem spekulacyjnem, nie chodzi nam o zyski materyalne. Postawiliśmy za zadanie nasze dostarczyć Czytelnikom naszym jak najwięcej *dobrego* materyału czytelniczego i służyć dobru publicznemu. Zadaniom tym odpowiadamy stale i Czytelnicy nasi mają o tem sąd wyrobiony. To nam pozwala otwarcie odwołać się do Czytelników z najusilniejszą prośbą o pomoc w pracy przez zjednywanie coraz większych rzesz naszych przyjaciół i abonentów. Na wezwaniach do Czytelników nie zawiedliśmy się nigdy, wierzymy szczerze, że i ten odezw nie pozostanie bez skutku.

Szanuj mowę ojczystą.

Najpewniejszem znamieniem stopnia wykształcenia człowieka jest opanowanie — mowy. Czem mniej inteligencyi kto posiada, im mniej zdolności umysłowe są uprawiane, tem niepewniejszym się człowiek staje w używaniu tego skarbu — mowy. I pomimo, że już od bardzo dawna władanie językiem — naturalnie przedewszystkiem swoim rodzinnym — uważa się za wysoki stopień wykształcenia, w codziennem życiu mało się na to uwagi zwraca, by skarb ten zachować nieskalanym, o ile możności starać się go upiększać. Bo przykrem jest słyszeć Polaków mówiących najzupełniej zepsutym dyalektem i wymową. Zła wymowa takich ludzi, którzy zresztą mają dobre szkolne wychowanie i w najlepszych kołach się obracają, bywa uniewinnianą niedbałością i przyzwyczajeniem i przeważnie tak jest istotnie. Prawdziwie wykształcony człowiek nie powinien jednak być w tym kierunku niedbałym ani nabierać cudzoziemskich nawyczek. Czysto mówić! to powinno być dumą każdego. Polska mowa jest niezwykle bogatą w swoich zwrotach i wyrażeniach; nie potrzeba dla lepszego tłumaczenia używać cudzoziemskich wyrazów; a jednak tak się dzieje: niektórzy nawet mają zwyczaj chełpić się tem i mieszać wyrazy francuskie, niemieckie i angielskie, mówiąc po polsku, zdaje im się nawet, że przez to okazują swoje wykształcenie. Lub też zestawiają wyrazy w ten sposób, że chociaż błędu znamiennego niby niema, a jednak to razi; np. „cieszę się olbrzymio na to“: czy nie można powiedzieć cieszę się bardzo, niemiernie, po co używać „olbrzymia“ (z niemieckiego riesig). Niedawno też usłyszałem w groni pań bardzo dystyngowanych, jak jedna z nich wyraziła się, że pojedzie do Ameryki „Hapagiem“... Zrazu myślałem, że to nazwa okrętu, a kiedy śmiano się ze mnie, że tego nie rozumiem, z pokorą prosiłem, by mi to wytłumaczono. Otóż wyraz ten oznacza Hambursko-amerykańską linię! Czyż koniecznie trzeba posługiwać się tym żargonem mało wykształconych ludzi i urzędników, którzy dla oszczędzenia czasu skracają wyrazy?

Gdybym chciała tu wszystkie błędy używane w mowie wypisać, nie wystarczyłoby chyba miejsca i czasu. Na szczęście mamy jeszcze rodziny, które przestrzegają czystości mowy własnej i swoich dzieci, ale jakże wiele za to takich, którzy albo wcale już nie chcą swoim językiem mówić, albo go niemiłosiernie przekręcają! Rodzice powinni przecież na to uważać, by ich dzieci nie zapominały swej ojczystej mowy. Czyż nie zdarza się, że jeśli nie rodzice, to dzieci polskie — zapytane, jakiej są narodowości, nie zawstydzą się, gdy nie zdołają czystym językiem odpowiadać, że są Polakami.

Również i niemiły, jak się czasem zdarza organ mowy, można przy dobrej woli i pilności zmienić na melodyjniejszy. Im spokojniej się mówi, tem pewniej opanować można nietylko samą wymowę, ale i dźwięk tejże. Szczególniej kobiety powinny starać się o to, by ich głos nie był chropowatym, ani nadto wysokim ani też niskim. Niesłusznem jest mniemanie, jakoby wyrabianie głosu potrzebnem było tylko księżom, nauczycielom i artystom scenicznym; wiemy, jak ci „porywają tłumy“ właśnie głosem i wymową; dlaczegóż i my zwykli śmiertelnicy nie mielibyśmy posiąść tego daru? „Ładnym być“ nie każdemu jest danem, ale „ładnie mówić“ leży w mocy każdego człowieka, a ładna wymowa jest takim samym listem polecającym jak ładna powierzchowność. Przedewszystkiem ładna, czysta wymowa i przyjemny organ mowy — zdradza człowieka z dobrem wykształceniem i wychowaniem. „Suknia może mylić, gdyż pod bardzo skromnem ubraniem, kryje się często wybitna osobistość; — mowa nie omyli nigdy“.

Zabytki ziemi Wieluńskiej.

Niedawno zmarły, ceniony pisarz, śp. Józef Grajnert, ogłosił o zabytkach Ziemi Wieluńskiej poniższy artykuł:

Jako syn tej ziemi, znający bliżej jej starodawne pamiątki, pragnę je przytoczyć. I tak jadąc gościńcem żwirowym od Częstochowy ku Wieluniowi, spotykamy naprzód w dawnem miasteczku Kłobucku stojący jeszcze przy kościele wysoki dom murowany, jako plebanię, w której ongi mieszkał nasz historyk Jan Długosz. W tymże kościele parafialnym żyrandol jest wsparty na rogach jelenich. Jadąc dalej, widzimy zarosłe roślinnością resztki murów obronnych niegdyś starościńskiego zamku w Krzepicach, zanotowanego w dziejach naszych z czasów wojen szwedzkich za Karola Gustawa, z którego rąk, uzbroiwszy lud nasz, wydarł go dzielny rycerz Petryczyn.

O jaką milę stąd na zboczu od gościńca na prawo jest wieś Danków, niegdyś z przyległościami dziedzictwo Stanisława Warszyckiego, kasztelana krakowskiego za Zygmunta III-go, upoetyzowanego przez lud różnemi podaniami i legendami. Sterczą tam jeszcze ruiny jego dawnego zamku wraz z okolnym murem, niegdyś obronnym, dziś mocno podniszczonym. Obok w kościele znajduje się pomnik marmurowy tegoż Stanisława Warszyckiego, żyjącego za Zygmunta II-go, dobrze zachowany, na który w płaskorzeźbie z białego marmuru wystawiony jest tenże Warszycki w ubiorze odpowiednim, modlący się w postaci klęczącej.

O półtorej mili od Wielunia, na lewo od gościńca rozciąga się wieś Grembiń, należąca do parafii Dzietrzniki; stoi tam starodawnej struktury kościół modrzewiowy wśród rozłożystych drzewin, w którym, jako w filii parafialnej, odprawia się niekiedy nabożeństwo. Ściany jego wewnętrzne pomalowane są wodnemi farbami w różne esy, floresy; na chórze poniewierają się z gruba wyrzeźbione z drzewa dwie figury, a pod ołtarzem mają być, według podania, pochowane zwłoki Gabryela Hołubka, który z prostego górnika olkuskiego dosłużył się za waleczność stopnia jenerała wojsk Jana Zamoyskiego hetmana. Przy zdobyciu niedalekiej stąd Byczyny, leżącej w Księstwie Poznańskiem, i wzięciu przez hetmana do niewoli arcyksięcia austryackiego, Maksymiliana, Hołubek poległ od kuli z półhaka nieprzyjacielskiego.

Niedaleko stamtąd przy trakcie, idącym od Wielunia do Praszki, stoi we wsi Kadłubie starodawny kościół, również dawnej struktury, murowany, godzien bliższego zbadania.

W okolicy nad rzeką Prosną stoją okazałe jeszcze ruiny zamku w niegdyś miasteczku, dziś w osadzie Bolesławie. Zamek, wzniesiony przez Kazimierza Wielkiego, odegrał ważną ongi rolę w zatargach wojennych z książętami śląskimi i księciem Władysławem Opolskim wobec Korony. Został ostatecznie przez Szwedów zburzony.

W samym Wieluniu znajdują się jeszcze w znacznej części mury niegdyś obronne wraz z basztą okazałą, wzniesioną również przez tego, który „zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną“. Basztę tę odnowił i pokrył dachem blaszanym urzędujący tu w pierwszej połowie XIX-go wieku naczelnik powiatu Goliński, część muru przeznaczył na magistrat, a z resztek zamku kasztelańskiego wystawił biuro powiatu, dotychczas istniejące, przed którem ze wschodu leżą dwie ogromne kule kamienne. W kopalniach wapiennych pod Wieluniem napotyka się skamieniałości ślimaków morskich różnej wielkości.

Wreszcie o ćwierć mili od Wielunia ku Sieradzowi we wsi Dąbrowie znajduje się kościół murowany odmiennej struktury, który niegdyś był świątynią aryańską.

Józef Grajnert.

* *

Źródła zwyrodnienia.

Na ten temat wygłosił niedawno temu dr. G. Bunge, profesor uniwersytetu bazylejskiego, interesujący odczyt, z którego przytaczamy tutaj kilka ustępów w dosłownem tłumaczeniu:

...Celem usunięcia nieporozumień zaznaczam, wyraźnie, że nie twierdzę, jakoby zatrucie chroniczne alkoholem było jedyną przyczyną uszkodzenia tkanek, jedyną przyczyną niezdolności karmienia u matek, prochnienia zębów, gruźlicy, oraz cierpień nerwowych. Co do choroby zębów wskazałem na inną jeszcze przyczynę. A o gruźlicy wiemy bardzo dokładnie, że powstaje z wielu przyczyn. Wszystko bowiem, co osłabia ciało, co zmniejsza odporność tkanek, ułatwia bakteryom, naszym wrogom, przystęp do organizmu.

Twierdzę jednakże, że alkohol jest jedną z przyczyn wzmiankowanych cierpień. Twierdzę, że jest jedną z głównych przyczyn. A twierdzę przedewszystkiem: Alkohol jest tą przyczyną, którą znamy dokładnie i której usunięcie natychmiastowe od nas tylko zależy. A więc precz z alkoholem, a wtedy poznamy lepiej inne przyczyny cierpień i będziemy mogli skuteczniej pracować nad ich usunięciem.

Chcąc usunąć alkohol, jako przyczynę chorób, nie wystarczy zwalczać nieumiarkowanie, a polecać picie umiarkowane. Źródłem nieumiarkowania jest mierność w piciu. Każdy pijak był kiedyś miernie pijącym i dopóki nie przestaniemy pić miernie, nie usuniemy też przenigdy nieumiarkowania, wraz z wszystkimi skutkami jako to: chorobami, obłąkaniem, zbrodniami.

Lepiej, niż najdłuższe kazania objaśnia tę prawdę następujące porównanie:

W pewnym zakładzie dla obłąkanych zapytał ktoś dyrektora, czy nie sprawia mu nieraz trudności rozróżnienie jednostek zdrowych od chorych umysłowo. „Bynajmniej, odparł dyrektor, na to mam sposób niezawodny“.

I zaprowadził ciekawego do łazienki.



Chodkiewicz pod Chocimem.

„Oto widzi pan, w razie jakiej wątpliwości otwieram kurek od wodociągu i napuszczam wody do basenu. Jeżeli następnie wpuszczę obłąkanego i każę mu za pomocą kubełka wodę z basenu wylać, zabiera się natychmiast do pracy i będzie czerpał, czerpał wodę bez końca. — Skoro natomiast to samo każę uczynić człowiekowi zdrowemu umysłowo, zamknie najpierw kurek od wodociągu i dopiero potem zabierze się do wylania wody z basenu“.

Otóż podobnie jak waryaci postępują sobie ci, którzy zwalczają umiarkowanie, lecz źródła nieumiarkowania nie zatykają, kurka wodociągowego nie zakręcają, nie chcą usunąć miernego picia alkoholu. Jak waryaci postępują wogóle ci wszyscy, którzy zwalczają skutek, lecz przyczyny zwalczać nie myślą.

Rozpatrzmy się tylko po świecie. Kto działa na wzór ludzi rozumnych? Wszyscy naśladują waryatów!

Jak waryaci postępują sobie przedstawiciele ludu w ciałach prawodawczych, którzy uchwalają olbrzymie sumy na powiększenie domów dla obłąkanych, lazaretów, lecz nic nie chcą przeznaczyć na przeciwdziałanie obłędowi i chorobom.

Jak waryaci działają członkowie kongresów, towarzystw dobroczynności, którzy zbierają coraz to nowe środki na budowę przytułków wszelkiego rodzaju, zakładów dla epileptyków, słabych umysłowo, alkoholików, na budowę lecznic dla chorych na płuca, poliklinik dla ubogich lecz nic nie chcą uczynić, gdy chodzi o zapobieganie gruźlicy, pijaństwu, epilepsyi...

W tych krótkich, miejscami szorstkich uwagach uczonego, mieści się naprawdę cała treść sprawy alkoholizmu. Bądźmy rozumni i chciejmy walczyć z przyczynami pijaństwa, jeżeli na seryo pragniemy usunąć pijaństwo samo.

Śpiewająca góra.

Angielski urzędnik kolonialny, Hans Vischer Szwajcar, pochodzący z Brazylii, wydał niedawno opis podróży, jaką odbył w 1906 roku, przebywając Saharę wzdłuż i wszerz. Opowiada w nim o „śpiewającej górze“ Jetko, najwyższym szczycie oazy Bilma, który uszedł baczności dawniejszych badaczy. Takie „góry śpiewające“ są znane, a szmer przez nie wydawany, przypisuje się grze wiatru w szczelinach skał. Mieszkańcy oazy twierdzą jednak, że Jetko śpiewa wówczas, gdy się zbliża karawana i zawiadamia ich o jej przybyciu. Tak się też stało podczas pobytu Vischera w Bilmic. Góra śpiewała. Pewnego poranku zobaczono daleko na zachodzie długie, czarne plamy na okrągłym grzbiecie wydm piaszczystych; rosły one coraz bardziej i zbliżały się coraz więcej, jak cień wielkiej chmury; była to karawana z Asben, złożona z przeszło 8000 wielbłądów i 1000 ludzi. O takiem samem wydarzeniu w rok później, doniósł także komendant francuski oazy Gadel. Pewnego dnia powiedziano mu, że góra „mówiła“. W dwa dni potem przyszła z Asben karawana, licząca 4851 wielbłądów i 857 ludzi. Nie pozostaje nic innego, jak wierzyć, że był to przypadek, ale mieszkańcy Sahary wierzą w związek tego zjawiska ze zbliżaniem się większych mas ludzi. Odnosi się to również do zdarzeń, o których opowiada major Djama bej, wykształcony oficer turecki, stacyonowany w Fessanie i znany geografom. Podczas pobytu koło Ghat, zwrócił jego uwagę pewien taureg na wielką chmurę, okazującą się na horyzoncie i zapewniał go, że te chmury ukazują się tylko wtedy, jeżeli na drodze, prowadzącej z Djanet znajduje się wielka karawana. Za dwa dni przyniósł posłaniec wiadomości, że wyprawa wojskowa francuska przybyła do Djanet. Tauregowie twierdzą, że z podobnych chmur mogą się domyślać zbliżania wielkiej karawany na długi czas przed otrzymaniem pewnej wiadomości, stwierdzającej rzeczywistość.

Uniwersytet małżeński.

Panna Margot Argot, młoda paryżanka, powzięła myśl teoretycznego zbadania świętego stanu małżeńskiego. Chodzi jej o skonstatowanie, czego właściwie brakuje większości kobiet i dlaczego tak małej liczbie jej sióstr przypada w udziale możność uszczęśliwienia wybranego. I oto wniosek, do którego panna Argot dochodzi: bajecznie mała część cór Ewy jest świadomą wymagań, jakie stan małżeński kobiecie stawia. Mężczyźni, jej zdaniem, dzięki długoletniemu swobodnemu obcowaniu z kobietami przed ślubem, zdają sobie dokładnie sprawę, jak należy żonę traktować; kobiety natomiast znają mężczyzn li tylko z powierzchownego i dorywczego przebywania w ich towarzystwie, a przez to samo nie są absolutnie

w możności uświadomić sobie, jak się z mężem obchodzić należy. Po dojściu do tych wniosków, założyła panna Argot uniwersytet dla kandydatek do stanu małżeńskiego.

Tu dopiero dowiedzą się panie, zamierzające zawrzeć związek małżeński, jakie obowiązki je po ślubie czekają, a wówczas będą mogły same wnioskować, czy tym obowiązkom wogóle podołać są zdolne.

Główną rolę gra przedewszystkiem sposób obchodzenia się z mężem; bo mąż ma być zupełnie odmiennem stworzeniem, niż narzeczony. Mężczyzna, żyjący stale z kobietą, nie jest tym samym człowiekiem, co mężczyzna widujący się z kobietą przez parę godzin. Kobieta musi przeto szukać innych środków, by go sobie przywiązać. Jednym z głównych warunków powodzenia w tym względzie jest nie spuszczanie z oka nader ważnego czynnika, że każdy mężczyzna jest indywidualnym i indywidualności tej nie chce się pozbyć nawet za cenę posiadania kochanej istoty.

Naturę i przyzwyczajenia mężczyzny trzeba także uwzględniać. Każdy z mężów jest poniekąd wygodnickim; to wynika już z tego, że większość mężczyzn żeni się wtedy, gdy ma już dość kawalerskiego stanu i w małżeństwie szuka przeważnie spokoju. To też żona musi pokonać w sobie zbytnią żądzę bawienia się i musi potrafić zastosować się do przyzwyczajeń i upodobań męża. Jeżeli mąż położy się po obiedzie na godzinkę drzemki — niechaj śpi, jeśli zajmie się w chwilach odpoczynku czytaniem — nie przeszkadzać mu w tem.

Dalej kobieta winna starać się podobać mężowi i nie przestawać być ponętną dla niego, a także wzniecać i żywić w nim poczucie piękna, które każdy mężczyzna, w więcej lub mniej rozwiniętym stanie posiada.

Kwestya wychowania dzieci jest też szeroko omawiana na uniwersytecie dla kobiet, stanąć mających przed ołtarzem. Zarówno mąż jak żona powinni wywierać wpływ na młode stworzenie, lecz wpływ ten musi ograniczać się na udzielaniu przez każde z osobna li tylko



Światło świata.

swych dobrych stron charakteru. Pytanie, jakie są wybitne właściwości charakteru męskiego i jakie najlepsze cechy wpływu kobiecego, jest tam, także ściśle rozpatrywane.

Jednym z celów tej wszechnicy jest też przeciwdziałać ruchowi kobiecemu o tyle, by udowodnić kobietom, że nie posiadają wielu danych, potrzebnych do uprawiania tego lub owego powołania i że powołania gospodyni i matki nie powinny być niedoceniane, co stało się modnem od czasu t. zw. „ruchu kobiecego".

Równie ostro jest potępiane u kobiet zamiłowanie do przesadnego zbytku. Kobieta musi nauczyć się nie uważać męża za wołu roboczego, musi zrozumieć, że mąż ma tyleż praw do używania przyjemności życiowych, co i jego nadobna połowa.

Bogate żony powinny się nauczyć nie przeceniać swego wiana, ubogie zaś nie doceniać swych zalet osobistych i dobrej woli, jakie w połączeniu ze swą siłą roboczą chętnie na ołtarzu rodziny składają.

Co się tyczy zazdrości, którą często nawet rozumne żony swych małżonków męczą, to trzeba nauczyć się zapomnieć o jej istnieniu. Wszechnica narzeczonych twierdzi, że zazdrość należy do rzędu uczuć, dających się łatwo opanować. Żona musi być szczęśliwą, gdy nie ma powodu żywić tego brzydkiego uczucia, i broń Boże, sama nie podsuwać niemądrych myśli. Gdy zaś rzeczywiście jest podstawa do zazdrości, to żadne prośby ani płacze nic nie wskórają; wręcz przeciwnie, kobieta powinna się opanować i nie zapominać o swej godności ludzkiej, pociechy zaś szukać w czytaniu, studyach i sztuce.

Naturalnie nie jest wyłączony rozwód po poprzedniem rozmówieniu się z mężem, wzbudzającym podejrzenie i, co potem idzie, szukanie nowego szczęścia w innym.

Nauka była dla mnie najpotężniejszem lekarstwem na zło życia: nie doznałem nigdy zmartwienia, któregoby godzina czytania nie rozproszyła.

Montesquie.

* * *

Mieć zamiłowanie czytania, to znaczy wejść w towarzystwo ludzi najoświeceńszych, ludzi wybranych wszystkich epok; to znaczy stać się obywatelem wszystkich krajów świata, współczesnym wszystkich wieków: to uwierzyć w to, że świat był stworzonym dla nas.

J. Herschel.

Tajemniczy cień.

Znaną jest powszechnie dziwna historya Piotra Schlehmil, który sprzedał swój cień. Artysta, który stworzył, nie przypuszczał zapewne, że kiedyś w przyrodzie wydarzą się wypadki, które częściown choćby uprawdopodobnią tajemniczą historyę. A jednak przyroda miewa niekiedy swoje fantazye, podobnie jak artyści. W południowej Kalifornii wykryto niedawno obfite źródła nafty, które w przyszłości mogą się stać poważnym konkurentem w przemyśle naftowym. Na razie nie mają jednak większega znaczenia i zapewne Europa nie wieleby o nich wiedziała, gdyby przy tej sposobności, nie poczyniono niezwykłych obserwacyi. Wydobyta ze źródeł naftą jest tam przetłaczana do wielkich dołów ziemnych, służących za zbiorniki. Kiedyś przypadkowo zauważono, że cień padający na powierzchnię takiego stawu naftowego, ma tajemniczą właściwość, iż pozostaje w miejscu, mimo że rzucający go przedmiot zostanie usunięty. Jeżeli np. człowiek stanął przed zbiornikiem, tak że cień jego padał na powierzchnię, to chociaż odszedł, cień był jeszcze widoczny przez pewien czas i to tem dłużej, im dłużej dotycząca osoba stała w miejscu. Niezwykłe zjawisko zaobserwowano wielokrotnie; wywydawało się ono czemś niepojętem, wydawało się urzeczywistnieniem fantazyi o Piotrze Schlehmilu.

Dopiero uczeni, którzy zajęli się również zbadaniem zjawiska, wyjaśnili jego istotę w sposób, który nie ma nic wspólnego z cudownością i godzi się najzupełniej z prawami przyrody. Mianowicie słońce wywiera na tę ropę, bardzo obfitą w gazy, wpływ w tym kierunku, że na powierzchni występują miliony baniek gazowych. Gazy tę są nadzwyczajnie wrażliwe na wpływ i wahania temperatury, wskutek czego w miejscu, gdzie pada cień, wywiązują się mniej silnie, ponieważ ropa mniej się tam ogrzewa. Jeżeli cień pokrywał powierzchnię przez dłuższy czas, to również dłuższego czasu potrzeba, aby ropa ogrzała się tam równomiernie z resztą powierzchni. W ten sposób można łatwo wytłómaczyć powstanie tajemniczego cienia. Zarysy jego pozostają widoczne, ponieważ wytwarza się tu, nawet po usunięciu się przedmiotu rzucającego cień, mniejsza ilość baniek gazu, a przez to barwa powierzchni staje się nieco inna, blask słabszy. Dopiero po dłuższej chwili temperatura wyrównuje się na całej powierzchni, a tajemniczy cień znika.



Plantacye i sprzęt róż w Bułgaryi.

Jak się reklamują pisma amerykańskie.

W jaki sposób niektóre pisma amerykańskie się reklamują, świadczy o tem chicagoskie pismo, które w pierwszem wydaniu nazywa się „The Chicago Examiner“, a w następnych wydaniach nosi tytuł „American“. Otóż to pismo ma ciągle nowe pomysły, których celem jest: narobienie hałasu i zdobycie jak najszerszego koła czytelników. Jakże się do tego bierze? Oto w każdym numerze zamieszcza kupon i ogłasza konkurs, wyznaczając kilkadziesiąt nagród: dla tej osoby, która wygra i dla tej, która dla wygrywającej kupony zbierała. A nagrody to nie byle jakie: Przed 2 ma laty była pierwsza nagroda: podróż do ziemi świętej tam i napowrót, a wszystko pierwszą klasą. Tę nagrodę zdobył Polak, ks. Gordon, a pani Neringowa, która prowadziła kampanię, zbierając kupony, za to, że jej kandydat wygrał, dostała 5 tysięcy koron. Dalsze nagrody były; wycieczka do Europy 5-ciu osób, 10-ciu osób po Ameryce, 10 fortepianów, a potem kilkaset mniejszej wartości nagród. Następny konkurs był dla uczniów chicagoskich: Podróż naokoło ziemi. Nie koniec na tem. Aby tej podróży nadać więcej zainteresowania, pismo wysyła z Chicago po trzech chłopców w dwie przeciwne strony i naznaczyło nowe nagrody dla tej trójki, która prędzej przybędzie. Jedni udali się przez Ocean Spokojny, a drudzy przez Atlantyk. Kto prędzej ziemię objedzie? Uczniowie wszystkich szkół chicagoskich napastowali rodziców, krewnych, znajomych i kogo tylko mogli, ażeby prenumerowali „Examinera“, a im dali kupony. To też mnóstwo prenumeratorów zdobyli ci.. milusińscy, chociaż tylko sześciu odbyło podróż naokoło świata pod opieką korespondentów pisma. Ostatnio wyznaczyło pismo dwieście tysięcy koron na wycieczki wakacyjne, z czego trzy osoby, posiadające największą ilość kuponów, zostały wysłane do Europy, głównie do Oberamergau, na przedstawienie.

Oprócz większych konkursów i nagród są co tygodnia mniejsze. Ot np. kto będzie miał kupon z niedzielnego wydania, ten dostanie bilet na jakąś wystawę, lub jazdę łódką po jeziorze. Jest w mieście wielki cyrk, to pismo wynajmuje wszystkie miejsca i prowadzi tam dziatwę, posiadającą kupony. Czasem, i to dość często, wynajmuje pismo okręty i zabiera kilka tysięcy dzieci, lub starszych na wycieczki po jeziorze. Rozumie się, że orkiestra, jedzenie, łakocie, ognie sztuczne itd. wszystko także za darmo, a wszystko pierwszej klasy. Ten „Examiner American“ wychodzi tak: O godzinie pół do 5 ej rano już każdy prenumerator ma „Examiner“ w domu. Oprócz tego na wszystkich rogach ulic, jakoteż w rękach chłopców sprzedawaczy są numery do nabycia. To wydanie jest sprzedawane spokojnie, bez krzyku. O godzinie pół do 10-ej już zaczyna się muzyka: Automobile i powoziki pędzą na wszystkie strony, rozrzucając po rogach ulic duże paczki „American“. W tej też zaraz chwili zaczynają się krzyki chłopców, sprzedawaczy gazet: „Moon Edition“ (wydanie południowe). Potem o godz. pół do 12-ej nowe krzyki: „Business Edition!“ A potem wydanie: „Extra!“ Kogoś zamordowali, lub bankructwo jakiego banku, albo też jakaś ważna wiadomość z Europy, lub coś podobnego. Przed godziną pierwszą już roznosiciele sprzedają wydanie wieczorne. Potem następuje wydanie sportowe, zawierające telegraficzne wiadomości wyścigów konnych, gry w piłkę itp. Potem wydanie 7-me, następnie „różowe“ (bo na różowym papierze drukowane), a wreszcie około godziny szóstej wieczorem wydanie ostatnie, ósme. Często, jeżeli się coś ważnego zdarzy, co może ogół zainteresować, to jest jeszcze jedno, lub więcej wydań Oprócz tego, jeżeli się gdzie odbywają wybory polityczne, lub ważniejsza walka na pięści, to na gmachach redakcyjnych rozwieszają olbrzymie płótna i co chwila podają za pomocą elektrycznych świateł wyniki wyborów, lub też przebieg walki. W międzyczasie, aby się przypatrujący nie nudzili, rzucają na płótno różne komiczne obrazy.

Nie dziw, że wobec takiej agitacyi pismo jest wszystkim znane. Wykazy podane pod przysięgą udawadniają, że „Examiner-American“ sprzedaje dziennie przeciętnie 162 tysięcy egzemplarzy.

* *

WINDA.

(Z postępów techniki).

Drożyzna terenów budowlanych, coraz rosnąca liczba mieszkańców wielkich miast na małej stosunkowo przestrzeni, powoduje rozrost miast nietylko na płaszczyźnie, ale przedewszystkiem w górę. Domy urastają do coraz większej liczby pięter, dochodzą wprost do potwornych rozmiarów, jak amerykańskie „drapacze chmur“. O ile jednak na piętro drugie czy trzecie można wejść kilka razy z łatwością, tyle piętro piąte lub szóste nastręcza już mieszkańcom trudności i niewygody, naraża ich na drapanie się wysoko w górę.



W JESIENI.

Twórcy nowych wielopiętrowych domów zrozumieli dobrze, że chcąc zyskać mieszkańców dla tych górnych pięter, trzeba im umożliwić łatwiejszą komunikacyę z ulicą. Technicy łatwo rozwiązali problem: stworzyli windy.

Do transportowania ciężarów na górne piętra były one używane już bardzo dawno; trzeba było zatem tylko przekształcić je, dostosować do nowego użytku, dać im estetyczny wygląd, zaopatrzyć w wygodne urządzenia. Wprowadzono szereg rozmaitych stystemów, poruszanych w różny sposób. Wszystkie jednak wymagały obecności kierownika, który przewoził wchodzących do domu na żądaną wysokość i na odpowiedniem piętrze wysadzał bezpiecznie z komórki windy. Wskutek tego jednak koszt windy stawał się większy, kierownik dzień i noc musiał być obecny na stanowisku; w przeciwnym bowiem razie winda nie mogła funkcyonować. Coraz większe wzrastanie domów w górę, coraz bardziej ożywiony ruch wymagały, oczywiście reformy w tym kierunku, aby winda mogła funkcyonować automatycznie, a przecież z najzupełniejszą pewnością i bezpieczeństwem.

Wynaleziona w ostatnim czasie i rozpowszechniająca się bardzo szybko, winda automatyczna spotkała się zrazu z wielką nieufnością publiczności. Bo w pierwszej chwili funkcyonowanie jej może zaniepokoić ludzi mniejszej odwagi. Staje się przed drzwiami komory i nie widzi się nikogo. Na drzwiach guzik kontaktu elektrycznego i napis: „Trzeba nacisnąć, aby sprowadzić windę". Naciskamy. Winda zjeżdża na dół i wtedy dopiero można otworzyć prowadzące do niej drzwi. Wewnątrz szereg guzików z oznaczeniem pięter. Lecz teraz jeszcze winda nie da się poruszyć z miejsca. Przedewszystkiem trzeba wnijść do wnętrza. Wskutek obciążenia poziom jej zniża się i powoduje zamknięcie przewodnika prądu elektrycznego. Potem trzeba zamknąć drzwi i dopiero wtedy można po naciśnięciu odpowiedniego guzika ruszyć w drogę do góry. Poprzednie wszelkie usiłowania wprawienia w ruch windy są daremne. Na oznaczonem piętrze zatrzymuje się lekko, przez otwarcie drzwi wychodzi się na kurytarz. W tej samej chwili drzwi zamykają się Komora windy, jakby poruszana niewidzialną dłonią, rusza w dół. Oczywiście ktoś inny na dole musiał nacisnąć guzik. Naciśnięcie to dopiero teraz, po opróżnieniu się windy może wywrzeć skutek.

Wogóle sposób zabezpieczenia podróżnych jest obmyślony niezmiernie szczegółowo, z uwzględnieniem wszystkich możliwości. Przed ruszeniem windy z miejsca, wszystkie drzwi wzdłuż całego toru muszą być zamknięte, wogóle otworzyć można tylko te drzwi, poza któremi się winda znajduje. Dzięki temu nie zdarzają się prawie wypadki; są one niemal absolutnie wykluczone. Nawet nagłe przerwanie prądu elektrycznego nie grozi niczem. Wówczas bowiem zaczyna działać hamulec mechaniczny, przytrzymywany poprzednio siłą elektryczną. Winda staje poprostu w miejscu, gdzie w danym momencie się znajdowała i nie może się ruszyć ani w górę ani w dół, dopóki normalne krążenie prądu nie zostanie przywrócone. I to jest jedyna nieprzyjemność, na jaką jadący windą mogą być narażeni. Mogą zostać odcięci w środku toru i czekać tam czas pewien aż do naprawienia windy, bez możności wyjścia lub dostania się na piętro niższe lub wyższe. W zwykłych jednak warunkach zbyteczne są wszystkie przepisy, zbyteczni są dozorcy ruchu, albowiem winda funkcyonuje bez zarzutu, nie może być uszkodzona, ani błędnie użyta.

W budynkach, gdzie ruch jest bardzo wielki, i gdzie wskutek oczekiwania na kajutę windy ruch ten byłby utrudniony i skrępowany, zaprowadzono w ostatnim czasie inny system wind, nazwany przez wynalazcę „Paternoster". Wyobraźmy sobie maszynę szlamową, przy której szereg kubłów nie kończącym się, zamkniętym w sobie łańcuchem zanurza się w wodę i czerpie szlam z jej dna. Wspomniany system windy wygląda podobnie; jest tu szereg małych kajut, jedna ponad drugą, które przesuwają się powoli. Poruszają się one nieporównanie wolniej, aniżeli kajuta windy automatycznej, ale i tak umożliwiają oszczędność czasu, ponieważ przy tym systemie nie trzeba czekać. Wchodzi się spokojnie do przesuwającej się komórki, mogącej pomieścić dwie lub trzy osoby, na odpowiedniem piętrze wychodzi się spokojnie na korytarz. Oczywiście tu już łatwiej o wypadki, tu jadący nie może być tak starannie zabezbieczony przed wszelką ewentualnością; zręczność i zwinność ruchów jadącego odgrywa pewną rolę. Wysiadającemu nazbyt powolnnie łatwo może się zdarzyć wypadek, że przewróci się na ziemię. Ale do myślenia o własnem bezpieczeństwie, do pospiechu w ruchach musi być nowożytny człowiek przyzwyczajony, inaczej bowiem nie mógłby wychodzić wcale na ulicę, gdzie groziłyby mu ciągle dorożki, samochody, tramwaje itp. Doświadczenie z windą „paternoster" wykazały że liczba wypadków jest ogromnie mała; bywają zazwyczaj drobne potłuczenia. W zamian zaś za drobne ryzyko, otrzymuje się doskonały i wygodny środek komunikacyjny.

Skonstruowanie obu systemów wind, przyczyniło się niezmiernie do rozpowszechnienia windy. W Europie nie buduje się dziś ani jednego wyższego domu, któryby nie był zaopatrzony tą zdobyczą techniczną. I dlatego też zagranicą kwestya piętra, na którem się mieszka, poczyna tracić aktualność; staje się to obojętne, gdy nie potrzeba chodzić po schodach.

TO I OWO.

Pomysłowy kupiec.

W Kopenhadze stała się rzecz ważna. Oto pewien kupiec posiadający skład kapeluszy damskich ładnych i gustownych, spostrzegł naraz, że wszystkie jego klientki przestały u niego kupować, a zaczęły darzyć swoimi względami innego kupca, dlatego, że miał daleko większe kapelusze zapewne. Biedny kupiec, umęczony przez swego konkurenta, wpadł na doskonały pomysł... Oto za pośrednictwem swego przyjaciela, zakupił ze dwadzieścia kapeluszy — tamtego, i rozdał je przekupkom, na rynku sprzedającym ryby i jarzyny. Chętnie przyjęły ten dar kobietki, gdyż kapelusze znakomicie chroniły je od słońca a nawet od deszczu. Następstwem było, że naraz duże kapelusze stały się niemodnemi, bo odkąd przekupki takie nosiły, żadna z dam się ubrać w podobny nie chciała. Rozdały więc swoje wielkie kapelusze kucharkom i pomywaczkom, a same powróciły do dawnego kupca i do — — przyzwoitych kapeluszy.

Szczęśliwe miasto!!!

Nieprawomyślne gołębie.

Prof. Bechtierew w czasie swego pobytu na zjeździe słowiańskim w Sofii otrzymał od jednego z urzędników tamtejszego poselstwa rosyjskiego parę zwyczajnych gołębi, które oczywiście zabrał ze sobą. Jakież jednak było zdziwienie jego, gdy na komorze w Odesie oświadczono mu, że gołębi wziąć ze sobą nie może. Prof. Bechtierew, sądząc, że chodzi tu o cło, gotów był zapłacić, ile się należy; urzędnik komorowy jednak, który za nic nie chciał uwierzyć, że to nie gołębie pocztowe i nie tresowane, odmówił wprost oddania ich, oświadczając szczerze, że może to są „szpiegi skrzydlate".

Prof Bechtierew, widząc upór urzędnika, nie nalegał i zaproponował mu, aby wypuścił gołębie na wolność. I temu jednak sprzeciwił się gorliwy celnik, oświadczając, że właściciel może albo tylko zarżnąć gołębie, albo łby im poukręcać. Rad nie rad prof. Bechtierew musiał ustąpić i zostawił gołębie „w areszcie" na komorze.

Historya ta zakończyła się ostatecznie, jak donoszą dzienniki rosyjskie, pomyślnie dla gołębi. Musiał jednak prof. Bechtierew użyć aż pośrednictwa ministerstwa spraw wewnętrznych, które przeprowadziwszy korespondencyę z ministerstwem wojny, pozwoliło wreszcie rzekomym szpiegom wjechać w granice państwa rosyjskiego.

I wierzyćby się wprost nie chciało faktowi temu, gdyby go szeroko nie opisywały dzienniki rosyjskie. Maluczko, a od bocianów, odlatujących w jesieni na południe, żądać będą przedstawienia na granicach rosyjskich paszportów zagranicznych.

Rachunek milionerki amerykańskiej.

Gdy Jerzy Waszyngton umarł w roku 1799 i zostawił 3 miliony majątku, uważano go za najbogatszego człowieka w Stanach Zjednoczonych. Obecnie podobny majątek uważany jest przez miliarderów za ubóstwo. Dzisiaj dziesięciu bogaczy posiada w Stanach Zjednoczonych 10 miliardów dolarów, czyli 20 miliardów rubli; do drugiej grupy należy 580 potentatów finansowych, którzy jednakże posiadają „tylko" 15 miliardów razem; do trzeciej należy 5 tysięcy osób, posiadających razem „zaledwie" 50 miliardów. Ponieważ mężowie są zajęci dalszem gromadzeniem milionów, więc żony wydają pieniądze za nich i za siebie. I tak, wedle obliczenia jednego z dzienników nowojorskich, żona jednego z miliarderów wydaje rocznie 40 000 dolarów na suknie balowe. Na same rękawiczki wydaje taka pani 3.000 dolarów. Za tuzin chusteczek paryskich płaci 300 fr. To są „drobne" wydatki, wystarczające dla niejednej rodziny na całoroczne życie.

Zecer — doktorem.

Filozoficzny fakultet berlińskiego uniwersytetu udzielił w tych dniach stopnia doktora zecerowi dziennika „Deutsche Tagesztg.", p. Janowi Hinke. Jego rozprawa habilitacyjna nosiła tytuł „Wybranie i wyszkolenie robotników fachu drukarskiego ze specyalnem uwzględnieniem maszyn

drukarskich". Pan Hinke jest rodem ze Śląska austryackiego, pochodzi z Bielic. Godziny wolne od zajęć zecerskich poświęcał samokształceniu i w roku 1906 zdał egzamin abituryencki w gimnazyum w Olawie. Imatrykułował się potem na uniwersytecie w Berlinie, chodził na wykłady prawa państwowego i ekonomii politycznej, a jednocześnie składał pismo.

Papierosy mrs. Longworth.

Nowojorskie związki wstrzemięźliwości oburzają się coraz głośniej na córkę byłego prezydenta Roosevelta, mrs. Langworth za to, że pali publicznie papierosy, dając przez to zły przykład innym kobietom. Ostatnio związki wstrzemięźliwości w Cincinatati, gdzie mrs Longworth stale mieszka, wystosowały do niej odezwę, aby zaniechała tego nałogu.

DLA ROZRYWKI

Przytomny solenizant. Gra towarzyska.

Solenizant siada na środku pokoju, oczekując na gości, którzy zjadą niebawem, i każdy da mu podarek imieninowy, ale tylko słownie. Przy solenizancie siedzi jego zaufany przyjaciel i doradzca, a gdy każdy z gości mówi solenizantowi do ucha, co mu ofiaruje, ten pyta się przyjaciela: „Dlaczego mi to ofiarują?" Przyjaciel, nie wiedząc, jaki przedmiot ofiarowano solenizantowi, wymienia zastosowanie przedmiotu, jakie mu przyjdzie do głowy, wskutek czego formują się najdziwaczniejsze zestawienia, najczęściej nie mające najmniejszego związku z podarunkiem. Przytomny solenizant, nie chcąc obrazić żadnego z gości, głośno dziękuje każdemu i objaśnia, dlaczego ofiarowany mu przedmiot ma to lub owo przeznaczenie, wygłoszone bez namysłu przez jego przyjaciela.

Z początku gra ta wydaje się trudną, ale trzeba do niej tylko trochę przyzwyczajenia i śmiałości. Pobłażanie słuchaczy jest gwarancyą uciechy.

Naprzykład:

Solenizant. Dziękuję państwu za odwiedziny i za podarunki. Jestem pewien waszej życzliwości i tak znam wasze myśli i zamiary, że niezawodnie odgadnę, w jakim celu każde z państwa zaszczyciło mnie podarunkiem.

Goście. Zobaczymy! Zobaczymy!

Przyjaciel. Ja także wypowiem swoje zdanie.

Pierwszy gość (solenizantowi do ucha). Ofiaruję pan kilo świec.

Pozostali powinni wiedzieć co on ofiaruje.

Solenizant (głośno do przyjaciela). Jak myślisz? W jakim celu zrobiono mi ten podarunek?

Przyjaciel. Dla powiększenia twojego apetytu.

(Śmiech ogólny, wywołany niekonsekwencyą).

Solenizant (po namyśle). Tak jest panowie i panie, mój przyjaciel ma słuszność Wiadomo wam zapewne, że jestem oszczędny i że świece są bardzo drogie w dzisiejszych czasach. Chcąc wydać jak najmniej, jadam zwykle bez światła, pomimo, że całkiem tracę apetyt, bo po ciemku często nie trafię do ust, a wreszcie jedzenie nie smakuje; zawsze mi się zdaje, że do herbaty wpadła mi mucha, że w maśle kąpią się ćmy... brr! Poczciwy N. dowiedział się o tem, a jego podarunek jest dowodem jego najserdeczniejszej życzliwości: od dzisiaj będę przez całą zimę wieczerzał przy świetle, nie boję się już robactwa, a tem samem apetyt mój powiększy się w dwójnasób.

Drugi gość (do ucha solenizanta). Ja panu ofiaruję patelnię.

Solenizant (do przyjaciela). I cóż ty na to?

Przyjaciel. Zrobiono ci ten podarunek dlatego, ażebyś dłużej siadywał w domu.

Solenizant. W istocie! R. ofiarował mi patelnię; jestto przedmiot lekki, piękny i praktyczny tak dalece, że odtąd nie potrzebuję chodzić do restauracyi. Mogę sam sobie usmażyć jajecznicę, befsztyk, i dlatego będę musiał dłużej siadywać w domu.

Trzeci gość (do ucha solenizanta). Przyjm pan odemnie zegarek.

Solenizant (do przyjaciela). Cóż ty na to?

Przyjaciel. Ażebyś mniej się zajmował muzyką.

Solenizant. Prawda. B. zna mój pociąg do muzyki. Dla fortepianu zapominam o wytchnieniu, a doktór powiada, że taki nadmierny wysiłek

może mnie przyprawić o suchoty. Otóż B. ofiarował mi zegarek, który będzie mi dawał wyśmienite wskazówki, kiedy mam przerywać muzykę i udawać się do innych zajęć. Dziękuję, bardzo dziękuję.

I tak dalej.

Załoga pewnego okrętu składa się z 20-tu rozbitków. W tej liczbie jeden murzyn. Wskutek braku pożywienia, jeden musi zginąć,



każdy siódmy z kolei zostanie przy życiu, zginie tylko ostatni. Murzyn, oznaczony w szeregu gwiazdką, może sobie wybrać miejsce, jakie mu się spodoba. Otóż, jak trzeba zacząć liczyć, ażeby murzyn właśnie wypadł ostatnim?

Liczy się tak, że murzyn za pierwszym razem będzie trójką, czyli na 3-ciem miejscu.

Łamigłówka do nagrody.

Pierwszą wspak i trzecią — dużo ludzi płaci,
W drugą zaś i *trzecią* nogi wycieracie,
Drugą — *wspak pierwszą* niechętnie widzimy,
A na *całość* z musu podatki płacimy.
Bo *całość* — narzędzie ogniem ziejące,
Zniszczenia i śmierć straszną dokoła siejące.

Rozwiązania łamigłówki prosimy nadsyłać najpóźniej do 13. bm. na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 42.

Rozwiązania

łamigłówek zamieszczonych w nr. 38.:

I. **Arytmogryf:** Pan Tadeusz, Akademia, Neron, Tamiza, Aresztant, Dante, Epoka, Ukraina, Szampan, Zapaśnik — **PAN TADEUSZ.**

II. **Szarada: A—rak.**

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Antoni Barański, Tadeusz Biernakiewicz, Franciszek Biliński, Ludwika Bojukowa, Marya Chciukowa, Justyn Cholewik, Czytelnia Robotników Salinarnych w Wieliczce, Jan Habela, Jan Inglot, Walerya Jankowska, H. Józefowiczówna, H. Koczwarówna, Aleksandra Korotkiewiczowa, Wojciech Korzeniowski, Otylia Kostańska, Julian Krzysztofowicz, Romuald Kulczycki, Jan Łaszczak, R. Łazarewicz, Z. Maślakiewicz, Wacław Nowosiełecki, ks. Wincenty Osikowski, Karol Pacuła, Alina Panasiewiczówna, Józef Poncza, Świdłowski, A. Świerkosz, Kazimierz Szeliga, Franciszek Szewczyk, Bronisława Szkaradkówna, Franciszek Szmater, Stanisław Szostak, Eugeniusz Szulc, Władysław Trybała, Anna Wełnianka, Alojzy Zappe.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

pp. Irenka Balcerek, Kazimierz i Stanisława Balcerscy, S. Bartkiewicz, M. Bembista, Irena Chłapowska, Tomasz Cichowski, Janina Cieszyńska, Wiesia Czypicka, Pelagia Dymek, Stanisława Grzesińska, Bronisława Herbst, Marya Jankowska, „Janek z' pod Góry Przemysława“, Władysława Jakubowska, Zofia Knowska, Zygmunt Krajewski, Stefania Łazarewiczówna, Wanda Leszczyńska, Stanisław Markowiak, Józefa Matuszewska, Wanda Mechlińska, J. Nalaskowska, Fr. Nawrocka, Iza Pągowska, Hieronim Piechocki, Stanisław Pietrzak, Ludwika Polaszyk, Leokadya Przewoźniak, Tadeusz Przybyszewski, Zofia Stachowska, J. Strugarek, „Irena i Wanda z nad Warty“, Józef Wawrzynkiewicz, Tadeusz Węclewski, Józefa Wesołowska, Mieciu Wierzchowiecki.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Ludwika Bock z Berlina, Pelagia Dłużewska z Rummelsburg (pod Berlinem), Stefania Dużyńska (Nowe Wielce — Brandenburgia), Józef Lehrer z Niem. Lutyni (Austrya), Helena Kryszka z Berlina, Marynia Maćkowiak z Kastrop (Westfalia), Ignacy Matuszak z Altenessen (Nadrenia), Ludwik Schütz z Berlina, Emilia Świątkowska z Monachium, Walerya Vogtowa z Wattenscheid (Westfalia), Jadwinia Wojciechowska z Drezna, S. Wytyk z Sodingen (Westfalia).

Nagrodę otrzymali:

pp. Zofia Knowska z Poznania, ks. Wincenty Osikowski z Wielowsi (Galicya), H. Koczwarówna z Lwowa, Marynia Maćkowiak z Castrop (Westfalia).

Uwaga: *Przy rozdawaniu nagród nie uwzględniamy pseudonimów.*

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MARYA RODZIEWICZOWNA.

WRZOS

POWIEŚĆ.

NR 41

(Ciąg dalszy).

— A to coś mnie wspominała, że mówią? — spytał Andrzej — o tem pewnie nie było wzmianki.

— Owszem, ale to pozostało do załatwienia samym interesowanym. Emilka płacze, Markham przysięga, tak ich zostawiłam. Reszta rodziny wyczerpana gadaniem, spoczęła na laurach!

Usiadła na swem miejscu, naprzeciw Andrzeja, spojrzała na niego, zawahała się chwilę i wreszcie rzekła:

— Wracałam z bezmierną przyjemnością do domu. Wdzięczna, że nie byłam oszukana tu, ani okłamana. Jak się tamto widzi i słyszy, ma się cześć dla prawdy, jakaby ona była!

Andrzej poczerwieniał. Doczekał się przecie komplimentu, pomyślał prezes, ale go łyka z niesmakiem.

— No, córuś! — rzekł głośno. — Szykuj się tedy na ślub i wesele, któreś doprowadziła do skutku.

— Ale, prawda, mają być tańce! — zawołała. — Trzeba będzie trzy razy zmieniać toalety, a że Tuni jeszcze dwie nie gotowe, popłoch tam straszny.

— Wyobrażam sobie! — zaśmiał się Andrzej. — Ręczę, że Dąbski drapnął aż pod Radom!

— A twoje suknie gotowe? — spytał prezes.

— Już od tygodnia.

— A rachunek? Kazałaś mi przysłać?

— Już zapłaciłam. Miałam oszczędności!

— Osobliwość. Za biletami będę cię pokazywać. Miewasz oszczędności, płacisz sama krawcową! Ale, ale, co mi dziś gadał rządzca. Rewolucyę robisz w kamienicy. Kazałaś zdjąć kartę na mieszkanie Kostyńskiego, osiedliłaś tam jakąś jejmość nad dziećmi.

— Już i rządzca robi plotki. Kostyński jeszcze żyje, za mieszkanie zapłacił, dla dzieci sprowadził opiekunkę. Ja w tem nie figuruję.

— No, no! Ja już wiem, że jak się słuch o tem rozejdzie, na przyszły kwartał wszystkie sutereny, strychy i oficyny spadną na twą głowę i kieszeń! Zobaczymy prędko dno tych oszczędności!

— Tatuś myśli, że ja nie wiem, kto zajmuje sutereny i strychy! O doskonale wszystkich znam, lepiej, jak rządzca, stróż i cyrkuł. Wiem, kto może płacić, a kto nie.

— Zkąd ty bierzesz czas na to wszystko!

— Ja? A cóż ja właściwie robię? Nawet już na swój chleb przestałam zarabiać, jak w Gurowie. Bawię się — jutro wesele, pojutrze opera, w sobotę raut.

— Ładne masz suknie?

— Może tatuś chce obejrzeć? ale bilety płatne.

— Grubo?

— Słowo tatusia do rządzcy, żeby nie sprzedawano maszyny tej szwaczce. Po pierwszym zapłaci.

— Hm! po pierwszym, jak ty weźmiesz trzysta rubli. Rozumiem! No, pokaż suknie.

Położył rękę na jej włosach i pocałował w czoło.

W tem Andrzej się odezwał.

— Wiele trzeba tej szwaczce?

— Siedemnaście rubli.

— To ja je płacę!

— Chcesz także stroje obejrzeć? — zaśmiał się prezes.

— No pewnie. Będziemy przecie razem występować. Jeśli są brzydkie i nie gustowne!

— Toś zapóźno obejrzał. Trzeba było być przy obstalunku — rzekł ojciec.

— Trudno zrobić coś, o czem się nie wie.

— Trudno też wiedzieć, o czem się nie myśli! — mruknął prezes, idąc za Kazią na schody.

Otworzyła szafę i dobyła stroje. Obejrzeli i prezes rzekł:

— Za skromne, widać, że z oszczędności kuchennych.

— Ujdą zdecydował Andrzej — ale odtąd masz otwarty kredyt u Hersego. Nie chcę więcej tandety podszewkowej.

Nic nie odrzekła.

Złożyła napowrót suknie.

— No, a teraz, cóż ja mam płacić? — spytał prezes wesoło. — On mnie wyręczył.

— To bardzo źle, bo ja miałam inny zamiar.

— Co takiego?

— Mam biedaka bez zajęcia. Ślepy na jedno oko, był dwa miesiące w szpitalu. Możeby znalazł zajęcie w fabryce.

— Z żoną i sześciorgiem małych dzieci!

— Nie — tylko troje!

— Tylko! — uśmiechnął się. Niech się zgłosi — wezmę go!

Spojrzała na niego poczciwie, wdzięcznie, i zrobiło mu to przyjemność.

— Tak, ale to wszystko ja, a ojciec co? — zagadnął.

— Czekam. Ojciec doda stróżowi dwa ruble miesięcznie, bo mu się onegdaj urodziło siódme dziecko!

— Cóż ja temu jestem winien! — oburzył się komicznie prezes. No, stało się, dam, ale mu zapowiedz, że za ósme itd., będę zmniejszał po rublu. No, i patrzcie, jak ta kobieta umie robić interesa. Z jednej maszyny naciągnęła trzy! Zmykam!

Pocałował ją serdecznie i wyszedł.

Andrzej chwilę pozostał, wreszcie rzekł krótkie „dobranoc“, i Kazia została sama.

Włożyła napowrót stroje do szafy, popatrzyła na nie z niesmakiem, zamyśliła się, wydobyła z głębi tekturowe spore pudełko, postawiła na stole i obejrzawszy się, że drzwi zamknięte, otworzyła.

Uderzył ją zapach ziół suchych, zapach koszonych łąk, zżętych zbóż. W pudełku był olbrzymi pęk kłosów i polnych kwiatów, a na tej pościeli leżał złożony starannie jej roboczy strój gurowski, błękitna płócienna bluza, skórzany pasek, prosty słomiany kapelusz.

Popatrzała długą chwilę na „stroje“, potem przyłożyła twarz do kwiatów, wciągając chciwie w nozdrza ich zapach, i tak pozostała myślą bardzo daleko i od wesela Markhama i od kredytu u Hersego i nawet od swych dobroczynnych zajęć...

VI.

Pewnego dnia, w późnej jesieni, Andrzej wracał o zmroku z Grodziska, gdzie w fabryce spędził cały tydzień. Może widok młodej pary małżonków nastroił go sentymentalnie, ale wracał, marząc o pani Celinie, i wprost z dworca do niej zajechał.

Zastał ją w buduarze samą; nie wstała z fotelu, leniwie podała mu rękę.

— Cóż to — niełaska? — spytał uśmiechając się.

— Chociażby, nie udawaj, że cię to obchodzi! — odparła, cofając rękę od pocałunków.

— O widzę, że moja pani się dąsa. Za co? Com zawinił?

— Nic — nudzę się. Wyjeżdżam do słońca. Humor mam, jako to niebo tutejsze. Pocom tak

długo siedziała, nie rozumiem. Nie było dla kogo, ani dla czego.

Spojrzał na nią urażony, zmrożony tem przyjęciem, tak różnem od spodziewanego. Czuł, że będzie „scena“, której nienawidził.

— Czy się coś w twem życiu zmieniło? — spytał z wymówką.

— Pytasz? A cóż z dawnego pozostało?

— No! Chociażby ja! — odparł, starając się nadać rozmowie ton żartobliwy. Czy ja już nie wystarczam?

— Ty — alboż ty jesteś dla mnie! Non, mon cher! Straciłam cię od lata. No i nic dziwnego: młoda żona, obowiązki światowe i rodzinne względy, to absorbuje. Mężczyźni stworzeni są na pasterzy i hodowców gęsi. Gdy jedną posiądą na własność, marzą o stadku.

Andrzej brwi zmarszczył.

— Może być — nie wiem! Gęsi nie mam, i nie pasę — odparł.

— Tiens! Już się obrażasz za żonę. Już mi jej tknąć nie wolno! — zaśmiała się szyderczo.

— Nie wiem, dlaczego o niej mówić mamy. Jest to przedmiot dla obojga nas niemiły.

— A o czemże mówić? Wszystko na tem się skończy. Od lata stosunek nasz zeszedł na nic. Nie bywamy razem w teatrze, nie wychodzimy, nie pokazujemy się ze sobą, rzadko kiedy widuję cię w piątki. Nie wypada, nie wypada! Musiałam tamtej ustąpić we wszystkiem, wszędzie.

— Tylko nie w mojem sercu!

— Phi! — mała pociecha, gdy duma cierpi.

— Zapominasz, żem ci wielokrotnie ofiarował swe nazwisko. Nie chciałaś być żoną.

— Nie. Zanadto wielbię i znam miłość — aby wyjść za mąż. Zresztą zanadto ciebie wtedy kochałam. Wzdrygałam się na samą myśl, by nasze uczucie miało za akompanjament kuchnię, jadalnię, komeraże kumoszek i sypialnię uświęconą kościelnem kadzidłem. Nie, nie, tej profanacyi swemu bóstwu nie uczynię.

On w tej tyradzie zauważył jedno tylko zdanie, i powtórzył:

— Wtedy mnie kochałaś! Mówisz, jak o przeszłości.

— Mon Dieu, tak się wyraziłam. Łapiesz za słowa, jak na śledztwie. Zresztą, uderz się w piersi, czyś ty mnie także nie kochał bardziej, jak teraz Pięć lat, to bajecznie długi okres dla miłości.

— Moja pozostała bez zmiany.

Cień, jakby niesmaku i zniecierpliwienia przemknął po twarzy kobiety.

— Zdaje ci się. Ja widzę ogromną różnicę i czuję, że coraz bardziej staję się przeszłością. Ostatecznie, trzeba umieć umrzeć z godnością, ustąpić nowej gwieździe.

— Celo — dlaczego to mówisz, nie wierzysz, nie możesz wierzyć. Chyba — zająknął się — chyba sama przestałaś kochać!

— Nie — odparła — ale obserwuję, słyszę, widzę. Widziałam cię z tą w teatrze. Jakżeś był uprzejmy, nadskakujący, uśmiechnięty! Na mnie nie raczyłeś spojrzeć; kompromitacyą jestem. Widziałam was oboje wchodzących do Hersego, wiem, żeś jej tam otworzył kredyt nieograniczony, czuję, że dla niej opuszczasz piątki, dla niej wracasz wcześnie do domu. Spojrzałeś na mnie, jak na waryatkę, gdym ci kiedyś żartem, na próbę, zaproponowała małą wycieczkę, parę tygodni, sam na sam, na południe. Wszystko wiem, czuję: muszę ustąpić, ale wiem i to, że będziesz bardzo ukarany.

Roześmiała się nerwowo.

— Twoja gęś ciebie zdradzi, może już zdradziła. Ja będę przez nią nieszczęśliwa, ale ty będziesz przez nią pośmiewiskiem.

Krew uderzyła do twarzy Andrzeja — powstał.

— Przestań, proszę. Na mnie wolno ci mówić wszystko, ale nie tykaj czci mojej żony.

— Twojej żony! — zaśmiała się. — Co za majestat! Żona! Jacy wy jesteście z jednej strony przejęci swą potęgą, a z drugiej głupi! Co jest żona! Według was to glina, którą kupujecie na targu, urabiacie wedle swej woli, dajecie jej swoją myśl i duszę, aby się stała waszą rzeczą, echem, częścią domu! Przysięgła, a zatem dostrzyma, to nie ulega wątpliwości, jesteście tego tak pewni, i tak pewni, że sobą, swem nazwiskiem i stanowiskiem czynicie jej taki honor i zaszczyt, taka rozkosz jest być waszą gospodynią i niewolnicą, że nawet nie spytacie, czy ona myśli, czy ona czuje, czy jej wystarcza to szczęście.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

To słysząc Teodor, zadrżał na całem ciele.

— Szczęściem — szepnął — sala wielka, muszą więc szukać najmniej dwa dni, nim znajdą to czego pragną.

Ale budowniczy rozwinął swój wielki rulon papierowy, włożył na nos okulary i przykląkł przed planem oświetlonym drgającem światłem latarni trzymanej przez Grakchusa.

— Lękam się — rzekł Santerre drwiąco — czy tylko obywatel Giraud nie marzy.

— Obaczysz obywatelu generale — odpowiedział budowniczy — obaczysz, czy marzę; tylko poczekaj.

— Widzisz przecie, że czekamy — odparł Santerre.

— Dobrze — powiedział budowniczy a potem rachując, dodał: — dwanaście a cztery to szesnaście, a ośm to dwadzieścia cztery, podzieliwszy przez sześć, będzie cztery, otóż i mam moje miejsce, a jeżeli się mylę choć na stopę, powiecie żem nieuk.

Budowniczy z taką pewnością wymówił te wyrazy, że obywatel Teodor skamieniał.

Santerre z pewnym rodzajem uszanowania spojrzał na plan i widział, że tem bardziej podziwia go im mniej rozumie.

— Uważaj dobrze, co ci pokażę.

— A gdzie? — spytał Santerre.

— Ej do licha! tu na tym planie, który narysowałem! Czy uważasz? o trzynaście kroków od ściany jest ruchoma tafla, którą naznaczyłem literą A. Czy widzisz?

— W rzeczy samej widzę A, — rzekł Santerre — myślisz może, iż nie umiem czytać?

— Pod tą taflą są schody — mówił znowu budowniczy — które jak widzisz naznaczyłem literą B.

— B. — Powtórzył Santerre — widzę B, ale schodów nie widzę.

I jenerał na głos roześmiał się z tego żarciku.

— Podnieś taflę, zejdź aż na ostatni schód — prawił dalej budowniczy — policz pięćdziesiąt kroków i trzy stopy, spojrzyj w górę, a znajdziesz się tuż na samym końcu podziemia przechodzącego pod więzieniem królowej.

— Wdowy Kapet, chciałeś powiedzieć, obywatelu Giraud — wtrącił Santerre, marszcząc brwi.

— A tak! wdowy Kapet.

— Nacóżeś powiedział królowej.

— Stary zwyczaj.

— I powiadasz, że się można znaleść pod więzieniem? — spytał Ryszard.

— Nietylko pod więzieniem, ale powiem wam nawet pod którem jego miejscem, oto pod kominem.

— Patrzcie no, to ciekawe — powiedział Grakchus, w rzeczy samej ilekroć kładę drzewo na tem miejscu, kamień zawsze dzwoni.

— Jeżeli znajdziemy to co powiadasz, obywatelu budowniczy, wyznam, że geometrya jest to rzecz bardzo piękna.

— A więc wyznaj! obywatelu Santerre, bo przez literę A zaprowadzę cię do wskazanego miejsca.

Obywatel Teodor paznogciami darł swe ciało.

— Jak zobaczę, jak się przekonam — rzekł Santerre — o! bo ja jestem niewierny, jak święty Tomasz.

— Ah! ha! wspomniałeś świętego.

— Na honor, prawda! ale i to z przyzwyczajenia, podobnie jak ty powiedziałeś: królowa, ale nikt mię nie obwini o spisek na korzyść świętego Tomasza.

— Ani mnie o spisek na korzyść królowej.

To powiedziawszy, budowniczy wziął znowu linię w rękę, policzył sążnie i wymierzywszy niby potrzebną mu odległość, uderzył w jedną taflę.

Była to właśnie ta sama tafla, w którą obywatel Teodor tak często uderzał uniesiony swym wściekłym gniewem.

— To tu, obywatelu generale — rzekł budowniczy.

— Tak mniemasz, obywatelu Giraud?

Patryota w budce do tego stopnia zapomniał się, że zaciśnioną pięścią uderzył się gwałtownie w udo i wydał głuchy jęk.

— Jestem tego pewny — mówił znowu Giraud — a wasze śledztwo porównane z moim raportem, przekona konwencyę, że się nie myliłem. Tak, obywatelu generale — z nadęciem dodał budowniczy — ta tafla otwiera wchód do podziemia kończącego się pod więzieniem wdowy kapet. Podnieśmy ją, zejdźmy razem w podziemie, a przekonam cię, że dwóch ludzi, a nawet jeden, mogą którejkolwiek nocy wykraść ją i nikt się tego nawet spodziewać nie będzie.

Szmer trwogi i zdziwienia, wzbudzony słowy budowniczego, przebiegł po zgromadzonych i skonał przy uchu obywatela Teodora, który teraz wyglądał zupełnie jak posąg.

— Otóż na jakie niebezpieczeństwo byliśmy narażeni — mówił znowu Giraud. — Teraz mam tylko jedyny ratunek, przetnę podziemie żelazną kratą i tym sposobem ocalę Francyą.

— O! — zawołał Santerre — obywatelu Giraud, jakże wzniosłą myśl powziąłeś.

— Niech cię piekło pochłonie, ośle przeklęty! — z podwójną wściekłością mruknął patryota.

— Teraz podnieś taflę — rzekł obywatel budowniczy do obywatela Grakchusa, który oprócz latarni miał także i drąg.

Obywatel Grakchus zabrał się do dzieła i po chwili tafla już była podniesioną. Wówczas pokazało się otwarte gardło podziemia ze schodami ginącemi w jego głębi, i buchnęło z niego powietrze gęste jak para.

— Znowu nadaremne usiłowanie! — szepnął obywatel Teodor! — O! czyliż niebo nie chce jej ocalenia i czy sprawa jej jest przeklęta?

IX.

Obywatel Grakchus.

Przez chwilę Santerre, budowniczy i Ryszard stali nieruchomi nad paszczą podziemia, podczas gdy odźwierny pogrążył swą latarnię w otwór, ale tylko wierzch jego oświetlił.

Tryumfujący budowniczy z całej wysokości geniuszu swojego panował nad towarzyszami.

— I cóż! — rzekł po chwili.

— Na honor! — odpowiedział Santerre — tak jest, to podziemie, niewątpliwie podziemie. Pozostaje tylko dowiedzieć się, dokąd prowadzi.

— Tak jest — powtórzył Ryszard — trzeba się o tem dowiedzieć.

— No, to zejdź obywatelu Ryszardzie, a przekonasz się, czy prawdę mówię.

— Zamiast wchodzić tędy — powiedział ceklarz — lepiej będzie, jeżeli wszyscy razem pójdziemy na górę i tam podniesiesz taflę na kominie.

— Bardzo dobrze — rzekł Santerre. — Chodźmy!

— Ej strzeż się — odparł budowniczy — ta tafla tak pozostawiona, może komu nastręczyć niepotrzebne myśli.

— Któż u dyabła miałby tu przychodzić o tej godzinie? — rzekł Santerre.

— Wreszcie — mówił znowu Ryszard — w sali niema nikogo, zostawiwszy tu Grakchusa, będziemy spokojni. Zostań tu obywatelu Grakchusie, przyjdziemy do ciebie drugim końcem podziemia.

— Zgoda — rzekł Grakchus.

— Czy masz broń przy sobie? — spytał Santerre.

— Mam szablę i drąg, obywatelu generale.

— No to nieźle! pilnuj-że dobrze. Za dziesięć minut wrócimy.

I wszyscy trzej zamknąwszy kratę, odeszli galeryą de Merciers udając się kurytarzem, wiodącym wyłącznie do Conciergerie.

Odźwierny widział, jak się oddalali, śledził ich wzrokiem, dopóki tylko mógł dostrzedz, słuchał, dopóki mógł dosłyszeć; nakoniec gdy cisza znowu wszędzie zaległa, gdy mniemał, że wszystko znowu osamotniało, postawił latarnię na ziemi, a zwiesiwszy nogi w podziemie, usiadł i zaczął marzyć.

Bo i odźwierni marzą czasami; nikt tylko nie zadał sobie pracy dochodzenia o czem marzą.

Nagle i gdy właśnie wpadł w najgłębsze marzenia, uczuł, że czyjaś ręka wspiera się na jego ramieniu.

Odwrócił się, ujrzał twarz obcą i chciał krzyczeć, ale natychmiast zimny pistolet dotknął jego czoła.

Głos mu zastygł w gardle, ręce opadły bezwładne, a oczy przybrały wyraz błagania, na jakie tylko zdobyć się mogły.

— Ani słowa! — rzekł nowo przybyły — albo umrzesz.

— Cóż pan chcesz odemnie? — wyjąkał odźwierny.

Widzimy, że i w r. 93 nawet były chwile, w których się nie tykano, w których zapomniano tytułować się obywatelem.

— Chcę — odpowiedział obywatel Teodor — abyś mię tam wpuścił.

— A to na co?

— Co ci do tego?

Odźwierny z jak największem zdziwieniem spojrzał na człowieka występującego z tak szczególnem żądaniem. Ale w głębi jego wzroku przybyły musiał zapewne dostrzedz jakąś oznakę rozsądku, bo zniżył swą broń.

— Wszak nie odrzuciłbyś majątku?

— Nie wiem, nikt mi jeszcze nic podobnego nie proponował.

— No, to ja ci zaproponuję.

— Pan mi ofiarujesz majątek?

— Tak jest.

— Cóż pan rozumiesz przez majątek?

— Tak naprzykład pięćdziesiąt tysięcy lirów w złocie, pieniądz teraz bardzo rzadki, przyznasz więc, że pięćdziesiąt tysięcy lirów w złocie warte są milion. Otóż, ja ci je ofiaruję.

— Za to tylko, że pan tam wejdziesz?

— Tak jest, ale pod warunkiem, że mi towarzyszyć będziesz i dopomożesz do mojego zamiaru.

— Ale jakiż to zamiar? W przeciągu pięciu minut żołnierze napełnią podziemie i przyaresztują pana.

Obywatel Teodor uczuł całą wagę tych słów.

— A nie mógłbyś przeszkodzić żołnierzom aby tam nie weszli.

— Nie mogę, nie znam żadnego sposobu i napróżno myślę.

W rzeczy samej odźwierny przywołał na pomoc całą przebiegłość swojego umysłu, usiłując wynaleźć jaki sposób, któryby go uczynił panem pięćdziesięciu tysięcy lirów.

— A jutro — spytał obywatel Teodor — czy nie będziemy mogli tam się dostać?

— Tak, bezwątpienia, moglibyśmy, ale do jutra podziemie przecięte zostanie kratą i dla większego bezpieczeństwa kratą mocną, nie mającą drzwi.

— A więc trzeba co innego obmyślić — rzekł obywatel Teodor.

— Tak jest — odparł odźwierny. — Myślmy więc.

Sam zwięzły sposób wyrażania się obywatela Grakchusa przekonywał, że między nim a obywatelem Teodorem nastąpiło porozumienie.

— Już to do mnie należy — rzekł Teodor. — Co robisz w Conciergerie.

— Jestem odźwiernym.

— To jest?

— Otwieram drzwi i zamykam je.

— I sypiasz tam?

— Tak jest, panie.

— I jadasz tam?

— Nie zawsze. — Miewam wolne godziny.

— A wtedy?

— Korzystam z nich.

— I cóż czynisz?

— Idę na umizgi do gospodyni szynku „Pod Winnicą Noego", która przyrzekła oddać mi swą rękę, skoro zbiorę tysiąc dwieście franków.

— Gdzież jest szynk pod winnicą Noego?

— Przy ulicy la Vieille-Draperie.

— Bardzo dobrze.

— Cicho, panie!

Patryota nadstawił ucha.

— A! ah! — rzekł.

— Czy pan słyszysz?

— Prawda... słychać głosy i stąpania.

— Już wracają. Widzisz pan, że nie mielibyśmy czasu.

To my, stawało się coraz bardziej stanowczem.

— Prawda. Jesteś dzielny chłopak, obywatelu i uważam, żeś przeznaczony...

— Na co?

— Na bogatego.

— Daj to Boże!

— Wierzysz więc w Boga?

— Czasem, kiedy niekiedy. Dziś naprzykład...

— A więc?

— Wierzyłbym chętnie.

— Wierz zatem — rzekł obywatel Teodor — kładąc dziesięć luidorów w rękę odźwiernego.

— Tam do dyabła! — powiedział tenże, przyglądając się złotu przy świetle swej latarni. To widzę na seryo.

— Nie może być bardziej seryo.

— Cóż mam czynić.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Conan Doyle.

Przygody brygadyera Gerarda.

Powieść z czasów napoleońskich.

(Ciąg dalszy).

Widziałem na twarzy młodzieńca, jaka w nim toczyła się walka i współczułem z nim serdecznie. Wreszcie podał mi rękę i uścisnął ją setnie.

— Pułkowniku Gerard — rzekł — zasługujesz pan na wielką miłość i szacunek. Przebaczam panu, aczkolwiek wyrządziłeś mi pan wielką przykrość, odpokutowałeś pan za to w szlachetny sposób. Dziwi mnie tylko, iż zastaję pana jeszcze przy życiu. Opuściłem posiedzenie trybunału, zanim jeszcze na pana wydano wyrok, ale słyszałem, iż od czasu poniszczenia naszych dzieł sztuki niema dla żadnego Francuza przebaczenia.

— On nie niszczył żadnych! — zawołała Łucya. — Pomógł to tego, aby one zostały utrzymane w naszym pałacu!

— Do jednego dzieła przyznaję się z całą przyjemnością — odparłem z ukłonem i pocałowałem moją ubóstwianą w rękę.

I tak stało się, moi panowie, że straciłem ucho.

Lorenza już nazajutrz po naszej przygodzie znaleziono zasztyletowanego na placu św. Marka. Z tego trybunału i jego siepaczy rozstrzelano Mattea i trzech innych, resztę wygnano z miasta. Moja czarująca Łucya wstąpiła do klasztoru w Murano, gdzie może jeszcze żyje, jako szacunku wszelkiego godna przeorysza.

Może zapomniała już o tych pięknych dniach, gdy nasze serca biły szczęsną i prawdziwą miłością, gdy cały wielki świat wydał nam się za małym dla pomieszczenia w nim ogromu naszej miłości. Może tak nie jest, może nie zapomniała, może i na nią przychodzą chwile, w których wspomnienia zakłócają jej ciszę klasztorną, może pamięta jeszcze tego francuskiego żołnierza, który ją kochał do szaleństwa.

Młodość minęła i namiętność minęła, ale pozostały serce i rycerskość i dziś jeszcze Stefan Gerard skłoniłby przed nią głowę siwą i z radocią oddałby drugie ucho, gdyby wiedział, że może się jej przez to przysłużyć.

Nie wiecie jeszcze, panowie, w jakich okolicznościach dostałem się do huzarów Conflansa, podczas oblężenia Saragossy, i nie znacie tego pamiętnego czynu, którego dokonałem w związku z zajęciem tego miasta?

Nie? A więc posłuchajcie! Opowiem wam to ściśle według prawdy. Prócz dwóch lub trzech mężczyzn i kilkunastu kobiet jesteście, panowie, pierwszymi, którzy dowiecie się o tej historyi z moich ust.

Muszę zaznaczyć, iż jako porucznik i rotmistrz młodszy służyłem przy drugim pułku huzarów Chamberana. — Zaś w czasie, o którym mówię, miałem dopiero lat dwadzieścia pięć, a byłem chłopcem walnym i zuchwałym, jak rzadko który w wielkiej Armii.

W Niemczech panował przypadkowo spokój, ale w Hiszpanii jeszcze wrzało. Otóż cesarz zapragnął wzmocnić armię hiszpańską i awansując mnie na pełnego rotmistrza, przeniósł do huzarów konflansa — którzy wówczas należeli do piątego korpusu pod marszałkiem Lanes.

Była to długa jazda z Berlina do Pirenejów. Mój nowy pułk tworzył część armii obleżniczej, która pod marszałkiem Lannes stała wówczas pod Saragossą. Jechałem, a raczej pędziłem w tym kierunku, zatem po upływie około tygodnia znalazłem się w głównej kwaterze francuskiej, skąd wysłano mnie do obozu huzarów Conflansa.

To słynne oblężenie jest wam, panowie, zapewne dostatecznie znane z książek, a mogę tylko dodać, iż generał żaden nie miał w swem życiu trudniejszego zadania do spełnienia, jak marszałek Lannes.

Olbrzymie miasto aż roiło się od hołoty wszelkiego rodzaju — żołnierze, chłopi, księża — wszyscy ziejący piekielną nienawiścią do Francuzów i zdecydowani ponieść raczej śmierć, niż się poddać.

W mieście znajdowało się 80.000 ludzi, tęgiego chłopa, a nas było 30.000 żołnierza, coprawda

zaprawionego w bojach. Mieliśmy prócz tego silną artyleryę i najlepsze oddziały inżynierskie.

Takiego oblężenia jeszcze nie było w świecie! Zwykle pada miasto, gdy mu zabierze się jego forty, ale tutaj walka rozpoczęła się na dobre dopiero wtedy, gdy fortyfikacye znajdowały się w naszych rękach.

Każdy dom stanowił fortecę, a każda ulica pole bitwy, tak, iż tylko powoli, dzień za dniem, mogliśmy się po kilka kroków posuwać naprzód, zmiatając po drodze domy wraz z ich mieszkańcami, a raczej załogami. Tak doszliśmy do połowy, ale druga połowa trzymała się, jak dawniej, muszę przyznać, odważnie.

Prócz tego znajdowała się ona w daleko lepszym stanie obronnym, gdyż składała się z olbrzymich klasztorów, z murami jak w Bastylii, których nie tak łatwo było się pozbyć.

Takim był stan rzeczy, gdy przybyłem na miejsce.

Przyznam się wam teraz, panowie, iż kawalerya podczas oblężenia nie posiada prawie żadnego znaczenia; był coprawda czas, w którym nie pozwoliłbym nikomu na zrobienie podobnej uwagi.

Huzary Conflansa miały swój obóz na południe miasta, a ich zadaniem było wysyłać kontrole i wywiadywać się, czy ku miastu nie nadciągają jakie wojska na odsiecz.

Pułkownik nie był coprawda bardzo tęgim człowiekiem, tak, iż brakowało wiele jeszcze drogi do przebycia tego szczytu, który potem osiągnął.

Jeszcze tego samego wieczoru zauważyłem rzeczy, od których włosy powstawały na głowie, gdyż przywiozłem z sobą bardzo surowe pojęcia o służbie, a zawsze było mi niesłychanie przykro, gdy spostrzegłem jakiś nieuporządkowany obóz, źle osiodłanego konia, lub też niedbałego jeźdźca.

Tego wieczoru jadłem z dwudziestu sześciu nowymi towarzyszami broni, a naprawdę, aż nadto w mej zapalczywości udowodniłem im, iż znalazłem tutaj inne stosunki, nie takie, do których byłem przyzwyczajony w naszej armii w Niemczech.

Po moich uwagach wszyscy zamilkli, a gdy dostrzegłem spojrzenia, rzucane na mnie, czułem, iż byłem bardzo nieostrożnym w moich wynurzeniach.

Szczególnie pułkownik był wściekły, a wielki major Olivier, najtęższy żarłok w pułku, który siedział naprzeciwko mnie i podkręcał swe olbrzymie, czarne wąsy, patrzył na mnie tak, jakby mnie chciał połknąć.

Udawałem jednak, iż nie widzę nic, gdyż miałem sam to uczucie, że ich obraziłem, a wiedziałem, iż zrobiłoby to bardzo złe wrażenie, gdybym zaraz pierwszego wieczoru wpadł w zatarg z mymi przełożonymi.

O tyle przyznaję, iż postąpiłem sobie niesłusznie, ale teraz posłuchajcie, panowie!

Po wieczerzy odeszli pułkownik i kilku oficerów, gdyż narada miała się odbyć w jakiejś chłopskiej chałupie. Pozostało kilkunastu, a przy kilku workach hiszpańskiego wina nabraliśmy wszyscy lepszego humoru.

Ten major Olivier wystosował do mnie kilka zapytań o naszą armię w Niemczech i o rolę, którą ja odegrałem w tej wyprawie. Będąc trochę podniecony, opowiadałem jedną historyę po drugiej. Było to zupełnie zrozumiałem, a wy mnie zrozumiecie, panowie.

Aż dotąd byłem wzorem oficera dla każdego. Byłem najlepszym szermierzem, najdzikszym jeźdźcem, bohaterem stu przygód i awantur. Tutaj byłem nieznajomym i w dodatku nielubianym. Czyż to jest dziwnem, iż moim towarzyszom broni opowiadałem z radością, jaki we mnie posiedli nabytek? Czyż nie było jasnem, jak słońce, iż najchętniej byłbym do nich zawołał:

— Towarzysze, cieszcie się! Cieszcie się! To nie lada sobie człowiek, z którym macie zaszczyt rozmawiać, to ja jestem! Ja, Stefan Gerard, bohater z pod Regensburga, zwycięzca z pod Jeny, człowiek, który zachwiał linią austryacką pod Austerlitz!

Nie mogłem im coprawda opowiadać wszystkiego, ale przynajmniej mogłem im opowiedzieć kilka wypadków, z których mogli wnioskować o reszcie. I tak uczyniłem.

Słuchali uważnie, a ja wpadałem w coraz większy ferwor.

Nareszcie gdy skończyłem z historyą, jak przeprowadzałem armię przez Dunaj, wszyscy wybuchnęli homerycznym śmiechem. Skoczyłem czerwony, jak burak, ze wstydu i gniewu. Sprowokowali mnie do tego, gdyż chcieli sobie ze mnie zażartować! Sądzili, iż mają do czynienia z jakimś łgarzem lub blagierem!

Czy takiem miało być moje przyjęcie u huzarów Conflansa?!

Otarłem sobie łzy wściekłości z oczu, a gdy to spostrzegli, zaczęli się śmiać jeszcze serdeczniej.

— Rotmistrzu Pelletan — odezwał się major — niewiadomo panu, czy marszałek Lannes znajduje się jeszcze tutaj przy armii?

— Tak mi się zdaje, panie majorze — odparł zapytany.

— W istocie, wydawało mi się, iż od chwili, w której między nami znajduje się rotmistrz Gerard, abecność jego jest tu zupełnie zbyteczna!

I znowu powstał szalony śmiech.

Widzę jeszcze dziś ten cały szereg szyderczych min dokoła i te złośliwe spojrzenia... tego Oliviera z tą szczeciną na obrzydliwej gębie, tego chudego Pellesana z jego ustawicznem chrząkaniem, a nawet tych smarkatych podporuczników! Jak oni się cieszyli! Boże, co za nieprzyzwoite zachowanie się!

Wściekłość moja jakoś uspokoiła się, oczy moje były już suche. Zapanowałem znowu nad sobą, byłem znowu zimny, spokojny, przygotowany na wszystko, na zewnątrz lód, na wewnątrz wulkan!

— Czy mogę zapytać, panie majorze, o której godzinie pułk staje do parady?

— Mam nadzieję, rotmistrzu Gerard, iż nie będziesz pan chciał zmieniać naszych już oznaczonych godzin? — odparł.

Powstał znowu śmiech, który powoli ustał, gdy zacząłem rozglądać się dokoła.

— O której godzinie pobudka? — zapytałem ostro rotmistrza Pelletana.

Miał widocznie jakąś ironiczną odpowiedź na języku, ale wskutek mego piorunującego wejrzenia zatrzymał ją dla siebie.

— O szóstej — rzekł tylko.

— Dziękuję — odparłem.

Policzyłem potem towarzystwo i przekonałem się, że miałem do czynienia z czternastu oficerami, z których 2 dopieroco przybyło ze szkoły wojennej. Nie mogłem zwracać dalej uwagi na ich nieprzystojne zachowanie się, pozostali mi więc major, czterech rotmistrzów i siedmiu poruczników.

— Panowie — mówiłem dalej, patrząc każdemu bystro w oczy — czułbym się niegodnym znajdowania się w tak sławnym pułku, gdybym nie zażądał zadosyćuczynienia za niegrzeczność, z którą panowie mnie powitaliście. Uważałbym panów także za niegodnych tego pułku, gdybyście memu żądaniu pod jakimkolwiekbądź pozorem odmówili.

— Pod tym względem nie natrafisz pan na żadne trudności — rzekł major. — Gotów jestem nie zważać na moją rangę i dać panu wszelkiego rodzaju zadosyćuczynienie w imieniu huzarów Conflansa.

— Dziękuję panu — odparłem. — Jestem jednakowoż zdania, że i innych panów, którzy raczyli się bawić moim kosztem, mogę pociągnąć do odpowiedzialności.

— Z którymi chcesz pan walczyć? — zapytał rotmistrz Pelletan.

— Z panami wszystkimi! — huknąłem.

Spojrzeli po sobie zdumieni. Następnie udali się w kąt pokoju i zaczęli coś między sobą szeptać, a śmiali się do rozpuku prawie. Widocznie mieli jeszcze to idyotyczne wyobrażenie, iż mieli do czynienia z jakimś łgarzem. Potem powrócili znowu do stołu.

— Wyzwanie pańskie jest wprawdzie niezwykłem — rzekł major — ale przyjmujemy je wszyscy. Jaką broń pan wybiera? Pan oznacza.

— Pałasze — odpowiedziałem. — A chcę z panami walczyć według starszeństwa w randze; rozpoczniemi o piątej rano. Najpierw z panem, panie majorze. W ten sposób będę mógł poświęcić każdemu z panów pięć minut i zakończymy przed pobudką. Proszę panów jednak oznaczyć mi miejsce, na którem się mamy spotkać, gdyż nie znam jeszcze dokładnie miejscowości.

Moja energiczna przemowa i moje spokojne i stanowcze wystąpienie wywarło na nich szalone wrażenie. Ironiczny uśmiech z ust ich gdzieś się podział. Szydercza twarz Oliviera spoważniała i stała się grawie ponurą.

— Za stajniami znajduje się niewielki placyk — rzekł — na którym załatwiliśmy już niejedną sprawę honorową. Znajdziemy się tam wszyscy o oznaczonej przez pana godzinie, panie rotmistrzu!

Gdy się właśnie kłaniałem, aby im podziękować za przyjęcie pojedynku, otworzyły się nagle drzwi, a przez nie wpadł wielce wzburzony pułkownik.

— Panowie — zaczął — mam polecenie zapytać się was, który z was na ochotnika zechce się podjąć dokonania dzieła, połączonego z niebezpieczeństwem żynia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

Wieczorem d. 8 października, Pułaski wrócił wesół do namiotu z rady wojennej. Od dawna pierwszy raz uśmiechnął się ochoczo do Karola, który stał zasępiony i całując go spytał.

— Cóż ty mój drogi Karolku jakoś osowiało wyglądasz? Czy ci serce nie skacze? nic nie przeczuwasz? nie wiesz?

Karol spojrzał nań zdziwiony, Rogowski także.

— No, to ci powiem na ucho! Jutro jak świt, przypuszczamy szturm, gotuj się więc, bo postanowiłem jutro, lub nigdy Francuzom pokazać, co Polacy umieją i popisać się po szlachecku. Już też tego leżenia pod tą psią budą, bo to nie twierdza... dosyć.

— Jakto? wyłomu nie czekając? — spytał Rogowski.

Wyrąbiemy go pałaszami naszemi — zawołał Pułaski. — Ho! jeszcze by ci się zachciało otwartej bramy do miasta! obejdzie się. — P. Maciej miał drugie pytanie na ustach, ale się powstrzymał. Karolowi uderzyło serce do boju.

— Wolę, że zaraz skończymy — zawołał — to obozowanie wśród gorączek i trupów, w tym ścisku, najsilniejszego złamie, bić się, to się bić.

— Ale nie z murem — rzekł Rogowski — bo muru głową nie przebijesz.

— No — to głowę o mur roztrzaskasz — dodał Pułaski — zawsze dobrze.

O świcie szturm... na godzinę przededniem ma być wszystko w gotowości.

Noc była dosyć pogodna, nie myślano już o spoczynku, siedli we trzech u namiotu i zadumali się wszyscy.

Przed nimi cel ów boju stał na jasnym niebie fort czarny, groźny, milczący. Dołem paliły się ognie obozowe.

W ciszy nocnej słychać było tylko głuchą wrzawę francuskiego wojska u biwaków i szum wezbranej rzeki, a niekiedy krzyk piskliwy ptastwa wodnego, które wielkiemi stadami z moczarów na rzekę przelatywało.

Pułaski pomilczawszy zaczął się modlić, Rogowski jął się krzątać około wyekwipowania, Karol chodził i gotował się też na jutro.

Na spoczynek, który ich miał nieco pokrzepić, zostało ledwie godzin parę, legli tak nierozebrani, aby ruszyć za daniem pierwszego znaku.

W śród najgłębszej ciszy, (noc była jeszcze), gdy obóz już powoli ruszać się zaczął. Rozkazy wydano półgłosem, ognie umyślnie pogaszono, siodłano konie omackiem, regimenta szykowały się w milczeniu posępnem... dowódzcy objeżdżali oddziały.

Sam Lincoln kilka razy przesunął się konno, aby obejrzeć, czy wszystko jest w pogotowiu, największą bowiem uwagę przywiązywano do tego szturmu, który miał być stanowczym.

Brało się na brzask, gdy cichy rozkaz ruszania, jak szmer przeleciał szeregi. Pułaskiemu przywiedziono konia, miał siadać, gdy nastręczył się Rogowski, uścisnęli się milczący, rozrzewnieni obaj. Karol już był na siodle, generał podał mu rękę, uścisnął ją, zadrżały dłonie, ale słowa do siebie nie powiedzieli.

Chwila przed bitwą jest zawsze godziną uroczystą.

W milczeniu ruszyły wojska powoli, niewielka stosunkowo przestrzeń dzieliła je od fortec. Do przypuszczenia ataku obrano część jego, która się zdawała najsłabszą, bastion zwany Ebenezer na Spring Hill.

Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ KOBIECY.

Armia dziewczęca w Anglii.

Od dziewcząt jak i od chłopców powinniśmy wymagać tężyzny charakterów, by chronić je od degeneracyi i jedynym do tego środkiem jest wychowanie przyszłych matek narodu o ile można idealnie pod względem fizycznym i moralnym, by przysposobić je na wzorowe kierowniczki przyszłych generacyi.

Zainicyowany przez pannę *Baden-Powell* nowy system wychowania dziewcząt jest bezwątpienia najbardziej doskonałym systemem obecnych czasów. „Nasze wychowanie, mówi panna Baden-Powell, stoi zupełnie na boku od wychowania szkolnego, jest jego dopełnieniem w godzinach wolnych od zajęć szkolnych i odbywa się całkowicie na świeżem powietrzu. Wychowanie to prócz fizycznego i moralnego rozwoju, ma na celu uczynienia dziewcząt pożytecznemi w sferze domowej, jak również uczynienia ich zdolnemi do wypełniania pewnych obowiązków publicznych na wypadek narodowych nieszczęść".

Największą zaletą tego trenowania jest, że odbywa się ono całkowicie na świeżem powietrzu, co daje dziewczętom normalny rozwój fizyczny i umysłowy i znakomicie wzmacnia ich zdrowie.

Dziewczęta uczone są studyowania natury, życia i obyczajów zwierząt i obserwowania wszystkich zjawisk przyrody; po za tem uczą się gotowania, szycia, pielęgniarstwa, opieki nad dziećmi, muzyki, rysunków, sygnalizacyi, rozpoznawania śladów zwierząt (tropienia), podawania pomocy w nagłych wypadkach itp. Jak obecnie inicyatorka zajęta jest głównie nauką ambulansu, ze względu na odezwę T-wa Czerwonego Krzyża, nawołującego do pomocy w swych pracach.

Przy nauce ambulansu główny nacisk kładzie się na to, aby pomoc o ile możności udzielana bez żadnych przyrządów i lekarstw. Dziewczęta okazują dużo sprytu, cierpliwości i zręczności i prędko uczą się ubierania rannych, bandażowania, zestawiania złamań, zatrzymywania krwotoku i t. p. Do nauki ambulansu należy również szycie bielizny dla chorych, przygotowanie bandażów, gotowanie szpitalne, antyseptyka i t. d.

Jednym z celów panny Baden-Powell jest przygotowanie dziewcząt do życia kolonialnego. W tym celu uczą się gotowania, gospodarstwa domowego, rolnictwa, ogrodnictwa, życia obozowego, strzelania, pływania itp.

Dziewczęta noszą bardzo zgrabny i wygodny uniform; składa on się z marynarskiej bluzki, której kolor zależy od „oddziału", w którym dziewczynka służy; z sukienki koloru ciemno-granatowego, czarnych pończoch, wełnianych kamaszy; czerwonego filcowego kapelusza w zimie i słomianego w lecie; pas i woreczek z materyałami opatrunkowemi, blaszana butelka z przegotowaną wodą do picia; na ramieniu przewieszona torba z zapasami żywności. Przez cały czas należenia do organizacyi nie wolno nosić gorsetu. Każda jest zaopatrzona w godło oznaczające profesyę, w jakiej w danej chwili pracuje; więc: ambulans, pielęgniarstwo, opieka nad dziećmi, muzyka, gotowanie, praca w farmie, pływanie, sygnalizacya, administracya, strzelanie, oddział wywiadowczy itp. Medale bronzowe i srebrne są udzielane za odznaczenie się przy ratowaniu życia, zaś świadectwa zasługi za wszelkie inne godne oznaki czyny. Po za ćwiczeniami cielesnemi dziewczęta uczą się religii, etyki, miłosierdzia, uprzejmości itp. Każda przed wstąpieniem składa zobowiązanie, że będzie wypełniać dwanaście przykazań, które mają stanowić przyszłe zasady jej życia. Przykazania te są piękne i wzniosłe i dają świadectwo wielkości Anglii. Oto niektóre! Kochaj Boga; szanuj króla; spejniaj obowiązki względem rodziny; spełniaj obowiązki względem społeczeństwa i ojczyzny; wspieraj biednych; szanuj cudze przekonania; szanuj prawa innych narodów; bądź sprawiedliwą i wiele innych.

Do tej młodocianej armii są przyjmowane dziewczęta w wieku od lat 8—16; są one zorganizowane w ten sposób, że w każdym niewielkim okręgu jest komitet z 3 do 8 pań, które zakładają t. zw. „patrole"; każdy patrol składa się z 8 dziewcząt, przewodniczki i kaprala; trzy patrole tworzą kompanię z kapitanem i porucznikiem; trzy kompanie tworzą pułk z pułkownikiem na czele. Oficerami mogą być panny w wieku najmniej lat 20, kierowniczkami patrolu panienki od lat 14 do 18.

Panie, które chcą pracować w organizacyi jako oficerowie muszą przejść parotygodniowy kurs celem obznajmienia się z szematem organizacyi, jego celami, środkami i t. p.

Projekt p. Baden-Powell znalazł ogromne uznanie w całej Anglii i obecnie w szeregach jest z górą 5 tysięcy dziewcząt; inicyatorka ma nadzieję, że już w roku przyszłym dziewczęca armia doścignie cyfry 50 tysięcy. Życzeniem p. B.-P. jest, aby w każdej wsi w Anglii była najmniej jedna kompania, w miastach zaś po kilkaset pułków. *Zygmunt Marczewski.*

Dom i kuchnia.

Budyń ze świeżej kapusty.

Jedną dużą lub dwie mniejsze główki kapusty polskiej lub włoskiej, rozkroić na ćwiartki, głąby wykroić i obgotować we wrzącej, lekko osolonej wodzie. Odcedzić i przepuścić kapustę przez maszynkę od mięsa lub usiekać. Potem zasmarzyć trzy łyżki stołowe masła z jedną drobno usiekaną cebulą i kilku grzybami. Jeżeli są świeże grzyby lub szampiony, należy takowe po oczyszczeniu i obmyciu, drobniutko usiekać i razem z cebulą zasmażyć; suszone zaś grzyby, trzeba ugotować, usiekać i dodać do zasmażonej cebuli. Następnie dodać jedną bułkę rozmoczoną w mleku, dwie łyżki tartej bułki, trochę koperku zielonego drobno usiekanego, soli i pieprzu, a wbijając po jednem 6 żółtek, masę dobrze rozetrzeć; wreszcie lekko domięszać pianę z pozostałych białek, dać do formy budyniowej wysmarowanej masłem i wysypanej bułką i gotować przez godzinę na parze. Na wydaniu oblać masłem rumianem z bułeczką.

Chleb pławiony.

8 funtów mąki, pół na pół żytnia i pszenna, 2 kwarty wody, 4 łuty drożdży, 4 łuty soli. Drożdże rozpuścić w 1 kwarcie letniej wody i zrobić rozczyn, uważając, aby nie był za gęsty; gdy podrośnie, dodać znowu kwartę letniej wody, w której rozpuścić 4 łyty soli, trochę kminku lub czarnuszki i dobrze wyrabiać rozczyn, dosypując resztę mąki, postawić do wyrośnięcia; potem ciasto krajać na równe części, urabiać na równe bochenki, a gdy wszystkie ukulane, włożyć je w przygotowaną już szeroką wanienkę lub balję z gorącą wodą, w której niech się pławią, aż wszystkie spłyną pod wierzch, wtenczas wyjmować na łopaty, posypane mąką lub otrębami przennemi, a posmarowawszy jeszcze wodą gorącą lub jajkiem z wodą, kłaść do pieca, który pierwej zlać wewnątrz wodą, aby wywołać parę. Przed samem wyjęciem, chleb jeszcze raz posmarować wodą dla nadania połysku i jeszcze na 5 minut wsadzić do pieca. Taki chleb można nawet piec w bardzo gorącym piecu w kuchni

Pomidory krajane w butelkach.

Dojrzałe pomidory wycierać ściereczką, krajać w ćwiartki lub mniejsze cząstki i nie wyciskając pestek, wkładać w butelki, pierwej wymyte i wysuszone. Napełniać butelki w ten sposób, aby pozostawić w szyjce próżnię dwa centymetry od korka. Mocno zakorkować i obwiązać jeszcze szyjki szpagatem, poczem butelki wstawić w kociołek napełniony wodą, na spód i między butelki, nakłaść siane lub słomy, aby nie popękały i od zagotowania wody licząc, gotować całą godzinę. W ten sposób sterylizowane pomidory przechować można lata całe, a nie tracą koloru ani smaku naturalnego. Wyjmować z kociołka dopiero po ostudzeniu i korki obciągnąć lakiem.

Gliceryna z zapachem fiołków, konwalii i róż.

Fiołki, konwalie lub róże, koniecznie świeżo zerwane, starannie oberwać z łodyżek i wszelkich zielonych listków, złożyć je w flaszeczkę z długą szyjką, nalać oczyszczoną glicerynę i bardzo szczelnie zakorkować. Flaszeczkę uztawić w ciepłem i suchem miejscu na 3 tygodnie, poczem płyn przecedzić, dodać do niego 10 proc. wody dystylowanej. Gliceryna w ten sposób przyrządzona nabierze zapachu świeżych kwiatów i użyta do wszelkich toaletowych potrzeb, jest bardzo przyjemna i pożyteczna. Kilka kropli puszczonych na watę i umieszczonych w szafie od bielizny lub sukien, przejmie wszystkie rzeczy w niej będące miłym zapachem. Kilka znów kropli puszczonych na ręce po umyciu ich, uczyni je delikatnemi i pachnącemi. Glicerynę z zapachem używać można też do ochrony włosów, nacierając nią same tylko włosy. Raz jeszcze powtarzam, że głównym warunkiem w przyrządzaniu tej gliceryny są świeżo zerwane kwiaty, bo nawet takie, które jeden dzień stoją zerwane nim zostaną użyte, nie dadzą już mocnego zapachu.

Dyspozycya obiadów na cały tydzień.

Niedziela. Rosół z kaszką krajaną, kotlety wieprzowe z kapustą, kompot z jabłek.

Poniedziałek. Zupa rumiana z jarzynkami, polędwica z garniturem, galareta ponczowa.

Wtorek. Barszcz biały z kiełbasą, kartofle, zrazy duszone z jarzynami, kompot ze śliwek.

Środa. Zupa pomidorowa z kluseczkami, baranina z buraczkami.

Czwartek. Czernina z kluseczkami, kaczka pieczona z jabłkami.

Piątek. Zupa grzybowa z kluskami, ryba smażona z kapustą, naleśniki z jabłkami.

Sobota. Zupa kartoflana, kotlety cielęce z marchewką, kompot.

:: HUMORYSTYKA ::

Student: Jak panu się powiodło przy początkowym egzaminie?

Kandydat medycyny: Nieświetnie, ale bodaj na pierwsze trzy zapytania odpowiedziałem gładko.

Student: Cóż to były za pytania?

Kandydat: Profesor zapytał się mnie o imię, nazwisko i o miejsce urodzenia.

W szkole żydowskiej.

— Hto to jest nosorożyć?

— Nosorożyć to jest niby taky kuń, a niby taka krowa, co mo na nosze wielgą gulę, y una jej styrczy do góry jak róg.

— Dobrze powiedżałyś, kochanku. — A czem un sze karmy, tego zwierze?

— Tego zwierze to sze karmy łąkamy, lasamy, ogrodamy i wodą w morzu.

— Bardzo dobrze, Samusz Hercenslejben! Szadaj sobie, mój przyjoczelu, a ty Lejosz będziesz my teroz powiedżycz, co wiesz więcy o tego zwierze, o którego mówiuł twój kamrat Samek.

— Jo o tego zwierze, co mówiał mój kamrat Samek, to już więcej nic nie wiem.

— Skoro ty więcej nic nie wiesz o tego zwierze, to ty, Lejosz, jestysz wielgy oszoł. Szadaj! a ty Chaimkełe odpowiedz na tego pytania.

— Jo na tego pytania tez mogę tyla powiedżycz, co jo nic nie wiem więcej o tego zwierze, co mówił o niem mój kamrat Lejoszek.

— Z tobie, Chaimek, jest jeszcze większy oszoł. Szadaj, ti szłymazelnik, a ty, Srulek, bedziesz my odpowiadacz na tego samego zapitania.

— Jo o tego zwierze, co mówił o niem mój kamrat Lejoszek, moge jeszcze powiedżycz, co uno sze nie doji.

— C... c... c... c? Co to za fajne kepełe tyn Srulek! wydżycze, jakie wy wszyscy poczebujecze bycz osły. O tego zwierzę, co mówiał o niem wasz kamrat Lejoszek, poczeba jeszcze wiedzycz, co uno sze nie doji; uno niè mo any młeko, any słodki szmitany, any kwaszny szmitany, any masło, any ser, myt ajnym wort, nosorozyć to jest tako wielgo gula na nosze, niby szliwka, niby pomyrancza, niby ogon u pies, co styrczy do góry, ałe więcej nyc, a nyc.

W handlu obuwia.

— Panie! zaledwie parę wizyt w jego bucikach oddałam, już są podarte.

— Proszę pani dobrodziejki, w tych bucikach wizyt się nie oddaje; w nich się tylko przyjmuje.

Konieczne objaśnienie.

Podczas przejazdu pewnej dostojnej osobistości, burmistrz z Kurzych Łapek przedstawiając swoją żonę i dwunastoletnią córkę, powiada:

— Mam honor przedstawić Waszej Ekscelencyi moją żonę wraz z córką.

A za chwilę dla większej dokładności dodaje

— Żona, to ta starsza...

Pewien właściciel wioski wyjeżdża na swoje wesele. Przed wyjazdem dowiaduje się, że wół wybiegł z jego stajni i gdzieś zaginął. Podczas uczty weselnej kiedy odczytywano telegraficzne gratulacye, ojciec pani młodej odczytał na ostatku jeszcze jeden świeżo nadesłany telegram: „Złapano wołu!

Praktyk.

Rzecz dzieje się w wagonie III klasy.

Siwowłosy podróżny spluwa, ale tak niezręcznie, że trafia plwociną na odzież siedzącego naprzeciwko eleganta.

— Po jakiemu pan plujesz? — woła obrażony towarzysz podróży, marszcząc groźnie czoło?

Starzec spogląda na niego z politowaniem, a zarazem pojęciem o swej wyższości.

— Ja — nie chwaląc się — pluję już sześćdziesiąt i dziewięć lat, mój panie, i taki młodzik będzie mi tu robił uwagi, jak mam spluwać!...

— Słowo honoru pani daję! ja miałem ogromne szczęście u kobiet.

— Mimo to nie ożenił się pan dotąd?

— To właśnie dowód.

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“.

„Przewodnik Kółek rolniczych“

czasopismo rolniczo-ekonomiczne ilustrowane

wychodzi trzy razy w miesiącu z datą 1., 10. i 20 w objętości co najmniej 2 arkuszy tekstu.

Każdy numer zbroszurowany w okładce, mieszczącej liczne ogłoszenia.

„Przewodnik zawiera artykuły popularne, opracowane z wszelkich działów gospodarstwa rolnego, objaśnienia ustaw, rady i wskazówki gospodarcze. informacye handlowe. wiadomości o stanie rozwoju stowarzyszeń u nas i za granicą, wogóle omawia sprawy ważne dla każdego rolnika.

Prenumerata całoroczna tylko 3 kor.

Prenumeratę przyjmuje Zarząd główny Tow. Kółek rolniczych we **Lwowie, ul. Kopernika 11.**

„Nowiny“

:: najpoczytniejszy ::
i najtańszy dziennik
w Galicyi Zachodniej

pod redakcyą Ludwika Szczepańskiego
miesięczna prenumerata 1 k. 50 hal.

„Nowiny“ celują szybkością informacyi i obfitością zajmującej lektury (2 pow.).

Prosimy żądać bezpłatnych
— numerów okazowych. —

Adres: „Nowiny“ Kraków Wiślna 2

Dyplom honorowy na Wystawie w Krakowie r. 1901.

W. Sznajdrowicz

Kraków, Rynek, Linia A-B L. 45, I. p.
nad apteką pod „Białym Orłem“

pod Zamkiem L. 234 Filia w Krynicy **pod Zamkiem L. 234**

poleca Szanowej P. T. Publiczności

główny skład i pracownię

PELERYN

zakopiańskich i tyrolskich, damskich, męskich i dziecięcych
po bardzo nizkich cenach,
oraz wielki wybór serdaków i wszelkich stroi zakopiańskich.

Zamówienia i reparacye uskutecznia
15 **w jak najkrótszym czasie** 24

Rozszerzajcie pismo nasze!

Przy zakupnach prosimy się odwoływać na ogłoszenia w piśmie naszem.

Fabryka pieczęci kauczukowych
St. Niemczyk
34 **KRAKÓW** L. 9.
Sukiennice 10. B.

„GŁOS POLSKI“

TYGODNIK NARODOWY DLA PODOLA,
wychodzi w Tarnopolu.
PRENUMERATA KWARTALNA 2 KORONY.
Rok założenia 1904.
Jedyne pismo polskie na Podolu galic.

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupczyc w Krakowie.